Nr 37 (1599) Warszawa, 16 września 1911 r. Rok XXXI

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Demoralizacja ideowa czy niemoc taktyczna?

Dużo sprzecznych komentarzy wywołał artykuł p. Clemensa (w *Rieczy*), który z widoczną zresztą życzliwością traktując sprawy polskie, znalazł tu zupełne rozprzężenie w związku z ostateczną klęską moralną grupy p. Dmowskiego.

— „Nie apolityzm panuje w życiu polskim — wnioskuje p. Clemens — jak działo się to w czasach pracy organicznej, lecz zamęt i demoralizacja ideowa".

Odpowiadając na te wywody w *Dzienniku Petersburskim* poseł Babiański bynajmniej im nie przeczy, natomiast wylicza cały szereg warunków i przyczyn, usprawiedliwiających ten smutny stan rzeczy.

Daleki jednak od pesymizmu, kładzie p. Babiański słuszny nacisk na to, że nie brak *idei* demokratycznej krajowi naszemu dolega, lecz brak demokratycznych *urządzeń*... Pozbawiony form elementarnych polski demokratyzm jednak żyje i rozwija się, co pozwala wróżyć dodatnio o naszej przyszłości.

Istotnie. Front polityki polskiej załamał się tragicznie, lecz zjawisko to należycie trzeba rozumieć.

Myli się p. Clemens widząc „demoralizację ideową" w obecnym zamęcie. I niemniej mylą się publicyści endeccy, tłómacząc p. Clemensowi, że naród polski nie dba o „principia", że zatym nie może być „demoralizacji ideowej" bo niema ideologji w polityce.

Gdyby ci panowie nie byli tak zaślepieni „pryncipialną" swoją bezideowością, toby powinni byli spostrzedz, że nie o *ideologję polityczną* tu chodzi, ale o *polityczną organizację*.

Kryzys obecny rozgrywa się nie w tej zupełnie płaszczyźnie, na jaką stawią go p. Clemens i jego komentatorzy. Chwila obecna nie jest rozsypką zasad, ale stronnictw. Choroba nie moralnej strony naszego bytu dotyczy, ale technicznej.

Wszystkie stronnictwa widzą w szeregach swoich apatję i dezercję. Ogół wyłamuje się z kadrów partyjnych, bo nie wierzy w rację ich bytu. Straciwszy nadzieję w rychłą realizację swoich postulatów, ludzie wyrzekli się udziału w organizacji sił politycznych.

Ale nie wyrzekli się bynajmniej swoich ideałów; raczej przeciwnie: wycofane z widowni politycznej, skryte w głębi świadomości zbiorowej, tym żywszym rozgorzały blaskiem...

I oto wymowny przykład: stronn. dem.-narodowe z dwóch składało się pierwiastków: ideologji powstańczej i taktyki ugodowej. Kryzys podciął taktykę, ideologję zaś nietylko oszczędził, lecz nawet wzmocnił. Straciła na tym grupa p. Dmowskiego, wyzuta z „principiów" — zyskała natomiast grupa ideowej secesji. Nie wdając się tu w krytyczną jej ocenę, podkreślić chcemy, że idea to integralna, bez ustępstw i kompromisów, bez względów taktycznych; nie liczy ona bynajmniej na rychłą realizację, nie trzyma się nadzieją doraźnych korzyści i stopniowych zwycięztw, lecz wewnętrzną uczuciową mocą wiary quasi-religijnej w niespożytą wartość starego hasła niepodległości.

Sama już wybujałość tej idei zwłaszcza wśród młodzieży niezbicie świadczy, że wbrew mniemaniu p. Clemensa mowy być nie może o „demoralizacji ideowej" naszego społeczeństwa, natomiast zachodzi w nim proces — przejściowy — *niemocy i dezorjentacji taktycznej*, t. j. niemożność skupienia się dokoła *realnego*, istotnego programu i brak ufnego impulsu ku jego obronie.

Nie demoralizacja ideowa więc nam dolega, lecz brak busoli kierowniczej, nieufność i niechęć do skoordynowanej akcji zbiorowej i ta niemoc taktyczna, której kres może położyć jedynie żywiołowe zwarcie się wszystkich sił narodowych w jeden *blok* pod hasłem obrony od grożących nam zewsząd zakusów.

Wieś polska.

I.

Chcę mówić nie o tej wsi, którą opiewa Laskowski (El) w swoich piosenkach, nie o tej nawet, którą ten sam Laskowski ilustruje, którą odświętnie ubiera w swoim piśmie, oprawia w ramki poezji. Nie o „wsi spokojnej, wsi wesołej" zamierzam mówić, lecz o tej która ani w ilustracjach. ani w poezjach nie wygląda ponętnie. Nie o wsi opiewanej lecz... opłakanej. Więc przedewszystkim o wsi zaniedbanej pod względem zdrowotnym i gospodarczym. Nigdy ta sprawa nie przestawała być aktualną i żywotną, a teraz staje się jeszcze bardziej na czasie, bardziej palącą, gdy istotnie się pali, gdy setki domów, stodół i wszelkich zabudowań w ciągu paru godzin zamieniają się w zgliszcza, dlatego, że niema ochronek dla dzieci, pozostawionych bez opieki podczas robót polnych; że niema schronisk dla starców zniedołężniałych, niema szpitali dla obłąkanych, którzy bardzo często są niepoczytalnymi podpalaczami. Wreszcie dlatego że niema należycie zorganizowanych straży ochotniczych niema dróg dogodnych dla szybkiego dojazdu straży wszystkich, gdy się palą wsie okoliczne. W końcu dlatego, że wsie polskie są budowane bezładnie z pogwałceniem wszelkich warunków bezpieczeństwa, dom przy domu, stodoła przy stodole, że niema dostatecznie rozwiniętej produkcji dachówek i wszelkich materjałów ogniotrwałych i że skutkiem tego przeważają u nas jeszcze strzechy słomiane.

Wieś polska jest opłakana i płacząca, bo codzień w całym kraju ciągną na cmentarze pochody pogrzebowe; nigdzie bowiem w żadnym państwie kulturalnym niema tak wielkiej śmiertelności, zwłaszcza śród dzieci co na wsi polskiej, zupełnie zaniedbanej pod względem zdrowotnym. Nigdy nie było zamało o tym mówić, ale dziś wobec pogłosek o blizkim samorządzie ziemskim, sprawa ta powinna żywiej niż kiedykolwiek nasze społeczeństwo obchodzić. Niestety, dotychczas najżywiej ona obchodziła i obchodzi naszych, tylko naszych lekarzy prowincjonalnych, przejętych poczuciem obywatelskim. Dzięki właśnie tym pracownikom niestrudzonym i inteligientnym, o położeniu higjenicznym wsi polskiej posiadamy już obfity materjał zgromadzony przez uczestników trzech zjazdów higienicznych, a obecnie — przez czwarty w Kaliszu (7—15 września).

Królestwo Polskie posiada 1284 gmin oraz 355 osad. Każda osada stanowi albo oddzielną gromadę wioskową, wchodzącą w obręb gminy istniejącej, albo tworzy odrębną gminę. Miast cały kraj liczy 116. W miasteczkach i osadach do pomocy burmistrzów danych bywa trzech ławników z głosem doradczym. Gmin z ludnością od 2 do 7 tysięcy jest w całym kraju 1206, a z ludnością od 10 do 15 tysięcy 131. Na tak szerokiej i ważnej arenie życia — mówił dr. Weissel w r. 1908, — radzibyśmy widzieć obok innych oświeconych osób pracę lekarza, jako: 1-mo pełnomocnika w gminie, 2-do ławnika w miasteczku i 3-io nadzorcy szkoły we wsi; do tego potrzeba, jak chce ustawa gminna, posiadać jakąkolwiek moralnośc, a ze strony włościan — szacunek i zaufanie. Lekarz na tym stanowisku, dotąd niedocenionym, jako znający warunki miejscowe i dochody gminne, wyjedna u zebrania gminnego zatwierdzenie niezbędnych funduszów i wprowadzać będzie w gminie wszelkie ulepszenia sanitarne.

„Od tej godności i tytułu do pracy społeczeej żaden kochający kraj swój obywatel niema prawa się wymówić, chyba, że, jak powiada ustawa: 1) wyborca ma więcej niż 60 lat wieku, 2) jeśli wysłużył już jedną kolej wyborów (ponowne wybory są dozwolone), 3) jeżeli podpada ciężkiej fizycznej niemocy, 4) jeżeli wreszcie z powodu rodzaju zajęcia lub gospodarstwa, nie może stale przebywać w gminie".

Dla każdej gminy, na mocy ustawy z r. 1879, prawodawca zaleca wybór (obieralnych co rok) dwu pełnomocników na ogólnym zebraniu. Pełnomocnicy gminni, inaczej tak zwani „mężowie zaufania" z rodzaju swej roli powinni być ludzie zdolni, energiczni i światli, a zwłaszcza tacy, którzy posiadają chęć i możność poświęcenia wiele czasu gminie. Razem z wójtem i sołtysem pełnomocnicy stanowią Radę

---

2)

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

FATALNE MIŁOSIERDZIE.

(Ciąg dalszy).

Przystanął przed sklepem, nad którym wisiał szyld z napisem: „Bar Amerykański". Popatrzał na kolosalne półmiski z rybami, stojące za szybą wystawy — i zastanowił się.

— Czy zjeść obiad, czy może odrazu?...

Wzdrygnął się i szpony błędnego strachu chwyciły go za gardło.

— Nie, jeszcze czas — szepnął. — Przecież mam rubla.

— Za chwilę go wydasz — szepnął jakiś głos do ucha — i znów będzie to samo! Jutro będziesz tak samo głodny, jak dzisiaj — lepiej odrazu!

— Lepiej odrazu — powtórzył w myśli Andrzej. — Dobrze, ale pierw się najem. Tak na głodnego nie chcę.

— Właśnie na głodnego — szepnął ten sam głos wesoło — To będzie świetny kawał. Za pieniądze gospodarza przeniesiesz się na tamten świat. To nie każdy potrafi.

— Dobrze, ale pierw się najem — odpowiedział Andrzej sam sobie z uporem pijanego.

— No, więc dobrze, najedz się — ale pamiętaj...

— Pamiętam...

Wszedł do restauracji i nie patrząc na nikogo, kazał sobie podać wódki. Bufetowy spojrzał nieufnie i miał taką minę, jakby chciał zażądać zapłaty naprzód, co jak wiadomo, w stosunkach restauracyjnych jest najwyższym lekceważeniem. Bez słowa jednak nalał żądaną wódkę, którą Andrzej wypił i zagryzł czemprędzej tłustym boczkiem. Mocna „z kroplami" wydawała mu się ogniem szatańskim, który mu palił wycieńczone wnętrzności. Dopiero po chwili przyjemne ciepło rozeszło się po kościach.

— Proszę jeszcze raz — zadysponował śmiało.

W tej chwili uczuł jakąś dłoń na ramieniu i obejrzał się zdziwiony.

Przed nim stał mężczyzna młody i elegancki, uśmiechający się życzliwie.

— Co, nie poznajesz mnie? — zapytał, widząc zdumienie Andrzeja... Jestem Roll...

gminną. Pełnomocnik, według ustawy, przynajmniej trzy lata powinien mieszkać w danej gminie, mieć jakąś nieruchomość, podobnież jak i ławnicy miejscy. Pełnomocnik razem z wójtem gminy i sołtysami wybiera pisarza gminy, co nie zawsze, wbrew prawu, jest uskuteczniane. Pełnomocnik spełnia swe obowiązki honorowo, zwolniony jest jednak od posyłek i podwód dla gminy. Za przewinienia w gminie pełnomocnik może być sądzony tylko w sądzie okręgowym, lecz nie w drodze dyscyplinarnej przez naczelnika powiatu. Czynności urzędowe pełnomocników w gminie samorządnej są między wielu innymi: sprawozdanie z sum gminnych i poświadczenie ksiąg przychodu i wydatków, łącznie z poświadczeniem wójta i pisarza; współdziałanie z wójtem gminy przy sporządzaniu rozkładu podatków skarbowych i gminnych. Wreszcie współdziałanie z wójtem gminy w sprawach dotyczących dobra, korzyści i interesów gospodarczych, obowiązujących wójta. A więc: dozór i opieka nad szkołami, ochronami i wszelkimi innymi zakładami dobroczynnymi gminy, jeżeli do niej należą, lub powstały jej kosztem.

Widzimy tedy, iż rozwój instytucji gminnych leży w rękach samych obywateli, funkcjonarjuszów gminy.

Do tej pracy dr. Wejssel nawołuje lekarzy i innych ludzi z inteligencji, którzy mają prawo do udziału w gminie i podaje szereg następujących wniosków:

1) Bez szerszego zainteresowania się i należytego przejęcia się ogółu ważnością zarządzeń gminnych, na mocy ustawy samorządnej, jako też współudziału w niej warstwy oświeconej *resp.* lekarzy (jak to było dotąd), sprawy zdrowotne gminy będą traktowane po macoszemu, a fundusze będą zatwierdzane na ogólnym zebraniu gminnym skąpo.

2) Lekarz — pełnomocnik gminy, ławnik w miasteczku lub nadzorca szkoły, jako stosunkowo najlepiej obeznany z potrzebami gminy i warunkami miejscowymi, swoim wpływem moralnym na posiedzeniach ogólnych może we względzie zdrowotnym i oświatowym wiele zdziałać dla gminy.

3) Pełnomocnik gminy, świadomy funduszów gminnych, jako ich kontroler i opiekun, nie uciekając się do podwyższenia znacznego podatków, może wiele zrobić dla kultury i zdrowia ludu.

4) Potrzebna jest dla gminy stała rada przyjaciół zdrowia i porządku, składająca się z pełnomocnika lekarza, lub lekarza w najbliższej gminie praktykującego, wójta, sołtysów i po dwu obywateli z każdej wsi. Obywatele ci swoim przykładem i wpływem moralnym zachęcaliby do przestrzegania przepisów sanitarnych.

Jakże się dzieje dotąd? Oto jaki obraz, niestety, nie urojony, lecz prawdziwy, roztacza dr. Wejssel:

Większość gmin po dawnemu rządzi się wskazówkami administracji ogólnej, a zarząd gminny, złożony często z ludzi ospałych, zacofanych, często niepiśmiennych, wbrew ustawom samorządnym, zatwierdza bez dyskusji podane sobie projekty, nieraz bez korzyści dla gminy, lub małej wagi, — potrzeby sanitarne zaś zbywa czymkolwiek. Włościanie po dawnemu zbierają się cztery razy do roku, lub niewiele częściej, pomimo, iż ustawa samorządna pozwala zbierać się tyle razy, ile tego dobro gminne wymaga. Posiedzenie gminne najczęściej zbiera się na żądanie władz administracyjnych, rzadko kiedy zwołuje członków zarządu, jak: wójta, pełnomocników lub sołtysów. Wieśniak, jak dawniej, buduje chaty nizkie, drewniane, słomą lub gontem kryte, stawia je obok siebie, bez lufcików, z oknami przybitymi na zawsze. Domy, zamiast drzewami wyniosłymi, otoczone są kałużami, rzadko wysychającymi. Ustępy, choćby wybudowane na śmietnikach, rzadko gdzie znaleźć można. Studnia, zwykle odkryta, drewniana, obok gnojówek. Woda niezdatna do picia. Nic też dziwnego, że choroby nagminne znajdują tu sobie odpowiednie podłoże i nigdy nie ustają. Ciągła łączność i komunikacja wsi z miastem jest powodem zawlekania chorób do miasta.

„W mieście lekarka lub lekarz domowy wskażą sposoby postępowania, celem niedopuszczenia do rozszerzania się chorób zaraźliwych. Na wsi analfabetycznej tylko żywe słowo, ciągle powtarzane przez ludzi oświeconych, a najlepiej przez lekarza—pełnomocnika na posiedzeniach, zrobią to samo, ale trudniej i powolniej”.

„Dlatego też prawdziwy bywa sąd ostateczny w gminie, zagrożonej cholerą. Wtedy wre robota sanitarna jak w ulu. Sypią się nakazy, sprawy sądowe, kary administracyjne, zbierają się z trudem przygodne komisje sanitarne, a po przejściu burzy wszystko wraca do dawnego porządku, — bez wielkiej korzyści dla zdrowotności gminy”.

Prace sanitarne, wykonane nie pod wpływem

— Ależ poznaję cię, tylko co ty tu robisz. Miałeś się żenić na Wołyniu?

— I ożeniłem się. Zresztą opowiem ci wszystko jak usiądziemy. — Naraz popatrzał na poetę uważnie i szepnął przerażony:

— Jezus Marja, jak ty wyglądasz!.. Jego oczy szybko przebiegły po nieszczęśliwej figurze Andrzeja i zlustrowały jego przerażającą garderobę. Kiedy usiedli w kącie restauracji, Roll aż pobladł z wrażenia, widząc przyjaciela w tak opłakanym stanie. Istotnie, nędza Andrzeja była dławiąca. Brud cuchnący szedł od niego, ckliwym odorem zgniłej bielizny i zaniedbania. W kącikach ust spieczonych, jak skóra jabłka wyjętego z popiołu, czaił się ów uśmiech pół ironiczny, pół bolesny, ożywiając trupią, zmęczoną twarz nędzarza jadowitym sarkazmem. Tylko oczy były smutne i błędne. Andrzej patrzał mętnie, jakby nie poznając. Nerwowymi, chwiejnymi ruchami poprawiał ustawicznie coś w rodzaju krawata na szyi i milczał, nie mogąc odpowiedzieć na proste pytanie przyjaciela. Wreszcie wykształcił z wysiłkiem:

— Głodny jestem... Nie jadłem kilka dni...

Roll zerwał się i pobiegł sam do bufetu. Za chwilę wrócił, przynosząc ryle na zimno i jakieś zakąski. W ślad za nim zjawił się kelner, który dokompletował zastawę koniakiem i nową serją zakąsek... Wziąwszy obstalunek w postaci dwuch befsztyków po angielsku — z elastycznym ukłonem ulotnił się płynnie i wytwornie, jak senne zjawisko.

Andrzej zaczął jeść!

Roll odwrócił głowę, pełen bolesnego niesmaku, widząc zwierzęcą łapczywość poety. W końcu, widząc że Andrzej zaspokoił pierwszy głód, zapytał troskliwie:

— Co się z tobą dzieje. Wyglądasz... nieszczególnie.

— Jestem nędzarzem, który tak wygląda jak musi! Od chwili, kiedyśmy się rozstali, nie zarobiłem 10 rubli. Żyję z pożyczek.

Spojrzał na niego z zazdrością i widząc wytworne ubranie Rolla, dodał nie bez cienia zawiści:

— Za to tobie — widzę, powodzi się doskonale.

— Tak, odparł Roll dosyć niedbale. Ożeniłem się wcale dobrze!

— Kiedy? — mruknął poeta, czując, że gorycz i zazdrość dławią go coraz bardziej.

— Kilka miesięcy temu—na wsi. Bogata panna.

— Dużo wziąłeś?

— 100 tysięcy.

Andrzej spuścił oczy na talerz, żeby Roll nie zauważył zazdrosnej niechęci, która się rozpaliła

osobistych przekonań włościan, ale pod wpływem nakazów policyjnych, nieraz wbrew ich woli, nie przynoszą żadnych owoców i prędko podlegają unicestwieniu.

To też w gminach powinna być stała opieka obywatelsko-sanitarna, złożona z lekarza, choćby nie funkcjonarjusza gminy, wójta, sołtysów i obywateli roztropnych. Taka opieka sanitarna czuwałaby w gminie nad ochroną rzeczy pożytecznych dla zdrowia, nad zadrzewieniem dróg, osuszaniem bagnisk, urządzaniem ścieków i t. d.

Zenon Pietkiewicz.

O przyszłość Portugalji.[1]

W całej Portugalji wielką jest *uraza* do monarchji hiszpańskiej. Uraza ta często przechodzi w gniew, zaś stale towarzyszy jej *nieufność*. Czy w zjawisku tym należy widzieć przedłużenie owego stuletniego konfliku i skrytego podejrzenia względem Hiszpanji, która, dominując w pewnej chwili nad Portugalją, kusiła się na jej niepodległość? A lud portugalski, nauczony doświadczeniem i zmuszony wciąż stać na straży swej niezależności, czy nie zbyt wyczerpuje się i irytuje śledzeniem ruchów i planów sąsiedniej monarchji? Być może, że w przypuszczeniach tych tkwi pewna racja, lecz nadto nieufność Portugalczyków oparta jest na przyczynach i motywach daleko świeższych i poważniejszych. Republikanie portugalscy są przekonani (i mają na to liczne dowody), że monarchja hiszpańska zarówno w okresie, który poprzedzał Rewolucję, jak również w okresie porewolucyjnym, zbyt często była powiernicą, doradczynią i współuczestniczką w przestępstwach dworu portugalskiego.

Ten ostatni, mimo swej naiwnej zarozumiałości, czuł się zagrożonym.

Podobno po śmierci Don Karlosa król Manuel z rodziną udał się po protekcję do dworu angielskiego i hiszpańskiego. Młody monarcha osobiście, podczas swej wizyty oficjalnej w Londynie, miał konferować w tej kwestji z liberalnymi ministrami Anglji. Ci odmówili stanowczo i kategorycznie. Podobno i Canalejas odpowiedział odmownie. Ale w dobrze powiadomionych kołach lizbońskich i madryckich uparcie twierdzą, że król Alfons przychylnie powitał myśl wspólnej akcji represyjnej.

Trudno oczywiście mówić w tej chwili o szczegółach tego przymierza. Dowiedział się wszakże podczas bytności swej w Portugalji Jaurès z ust dzisiejszych rządców kraju, że komisja parlamentarna jest w posiadaniu całego szeregu dokumentów i papierów wielkiej wagi, pozostawionych w zamku królewskim wskutek przyśpieszonej i żałosnej ucieczki dworu.

Krąży nadto pogłoska, że na kilka dni przed rewolucją, minister spraw zagranicznych proponował na radzie ministrów — zwrócić się bezpośrednio do króla Alfonsa z prośbą o interwencję. Inni członkowie gabinetu protestowali jednak namiętnie a ówczesny minister sprawiedliwości miał się podobno wyrazić: „Nie, nigdy nie zgodzę się na coś podobnego; król powinien się bronić jedynie siłami swego ludu!" Ale że mogła powstać podobna myśl w otoczeniu króla, że na podobny akt zdrady stanu godziły się jak widać sfery madryckie — oto co budzi gorycz w Lizbonie i podsyca nienawiść, nieufność i podejrzliwość względem ościennej monarchji. To też wielką było zasługą tymczasowego rządu, że uspokoił wzburzony lud, że zdołał zapobiec zaburzeniom, że odroczył publikację niemiłych dla króla Alfonsa papierów i t. d. Ale zbytecznym jest dodawać, że wszelka próba reakcji przeciwko młodej Rzeczypospolitej spowodować może *contre-coup*, najbardziej dla menerów owej reakcji nieprzyjemny, gdyż wzburzenie ludu portugalskiego bynajmniej nie zagasło, raczej przeciwnie.

Republikanie portugalscy mają wrażenie, że rząd hiszpański ze zbytnią pobłażliwością patrzy na gromadzone w Galicji w rękach rojalistów portugalskich zapasy broni. Taka tolerancja ze strony liberalnego rządu Canalejasa dziwi ich i niepokoi zarazem. Sądzą wszakże, że premjer gabinetu madryckiego sam znajduje się w przykrym położeniu, albowiem osobiste zachody króla na korzyść przywódców kontrrewolucji związują mu ręce. Tymczasem republikanie hiszpańscy o wszystkich podejrzanych ruchach monarchistów w Galicji ostrzegają swych towarzyszy portugalskich.

[1]) Por „Szanse kontrrewolucji", Nr. 36 „Prawdy".

---

ogniem nieugaszonego pragnienia w źrenicach poety. Udał, że coś robi i szepnął:

— Takim to dobrze... Ja tego szczęścia nie dostąpię.

— Dlaczego? — zaprzeczył grzecznie Roll.—Jesteś przystojny, młody i poeta. To kobiety lubią.

— Nie teraz — syknął przez zęby Andrzej. To było dawniej. Dzisiaj każda myśli o inżynierze, albo doktorze.

— Tak, to prawda, gdybym był inżynierem, ożeniłbym się jeszcze lepiej. Ale nie żałuję. Mila jest niezwykłą kobietą... Inteligentna, mówi językami, na fortepianie gra, jak wirtuoz. Przytym ma cenną zaletę tak rzadką u kobiet... ceni moją miłość! Może nie kocha mnie, tak jak ja ją kocham — ale mego uczucia nie wyrzuca razem z więdłymi kwiatami i starymi rękawiczkami. Wreszcie, poznasz ją sam, to się przekonasz... A teraz... pozwól, że ci naleję koniaku!

— Ja? oszalałeś chyba! W takich łachmanach!

— No, naturalnie, że nie tak, ale przecież nie odmówisz mi, jeżeli ci zaproponuję pomoc...

Po zczerniałych ustach poety przesunął się uśmiech goryczy!

— To mnie nie uratuje. Pożyczysz mi 15, 50— nawet 100 rubli — i co? Kupię sobie ubranie, a za miesiąc będę znów takim samym nędzarzem.

— Nie myśl o tym — rzekł Roll — i spojrzenie jego zatrzymało się na chudej, ziemistej twarzy Andrzeja. Głęboka litość szarpnęła jego sercem, wziął go za rękę — i dodał dobrotliwie:

— Mógłbyś zamieszkać u nas — dopóki nie znajdziesz jakiego zajęcia. Kupisz sobie ubranie — i odpoczniesz trochę — a potym już może być inaczej!

Andrzej spojrzał na niego jakby z przestrachem. Utkwiwszy oczy, w jego prawie zawstydzonym spojrzeniu, zapytał przejmującym szeptem.

— Ty to uczynisz?...

— No, dlaczegóżby nie!

Poeta wyciągnął rękę.

— Janie... Spojrzał na przyjaciela jeszcze raz z bojaźliwą nieufnością, ale widząc na jego twarzy, tylko szczere, naturalne potwierdzenie słów—zatrząsł się ze wzruszenia.

— Jeżeli to prawdą, jeżeli ty istotnie chcesz mnie wyciągnąć z tej kloaki, w której żyję, to Janie... Janie... — Nie mógł dokończyć i zakrył twarz rękoma. Bolesne łkanie, wtrząsnęło nim, jak dreszczem przerażenia. Nie odejmując rąk, łkał, dławiąc swój płacz — rozmazując łzy na twarzy, które płynęły coraz bardziej.

Uprzedzenia i podejrzenia Portugalczyków względem monarchji hiszpańskiej są tak wielkie, że wszyscy prawie powtarzają jedną formułę: „Hiszpanja już dawno ruszyłaby przeciwko nam, gdyby tylko miała dosyć wojska, aby móc jednocześnie prowadzić wojnę na trzy fronty: w Maroku, przeciwko własnej rewolucji i przeciw Portugalji".

Jaurès osobiście nie przypuszcza, aby monarcha hiszpański zdobył się na krok tak awanturniczy. Już dzisiaj lud w Portugalji jest pełen nienawiści i nieufności a w przyszłości mogą one urość jeszcze wyżej i mieć dla Hiszpanji groźne następstwa. W interesie obu krajów leży, aby rozwiać obawy Portugalczyków, aby dać im dowody bezstronności tronu hiszpańskiego. Z obozującą na granicy bandą powstańców reakcyjnych rząd portugalski da sobie radę, trzeba tylko, aby im nie pomagano ze strony hiszpańskiej, w przeciwnym bowiem razie ta ostatnia wiele ryzykuje. Lud portugalski dał dowody wielkiego charakteru i niepoślednich zalet umysłu. Dokonał tak zadziwiającej a dobroczynnej rewolucji bez żadnych wstrząśnień wewnętrznych, bez żadnych powikłań zewnętrznych. Trzeba mu teraz dać spokój i pozwolić pracować nad dziełem reform, pożądanych dla całej ludzkości.

S. Auerbach.

Organizacja kooperatywy spożywczej.

V.

Im większą ilość stowarzyszeń obejmuje hurtownia i im te usilniej zaopatrują się w niej, tym większych zakupów może dokonywać sama u producentów. Oczywista rzecz, że producent da możliwie najdogodniejsze warunki kupcowi, który zakupuje od niego olbrzymią partję towaru i płaci gotówką. Gdy, naprzykład, taki przedstawiciel angielskiej hurtowni nabywa odrazu 7 miljonów kilo herbaty dla zaopatrzenia 1,139 sklepów, obejmujących 1,700,000 rodzin, to rzecz prosta wytarguje dla tego zakupu najlepsze warunki i najniższą cenę; co znów odbije się korzystnie na zwrotach od zakupów stowarzyszeniom. Zyski hurtowni potęgują zyski stowarzyszeń, w stopniu daleko silniejszym, niż mogłyby to uczynić same stowarzyszenia. *Rozwój hurtowni leży w interesie poszczególnych stowarzyszeń i odwrotnie rozwój poszczególnych stowarzyszeń leży w interesie hurtowni.*

Lecz nie na tym koniec. Hurtownia kooperatywna, jako potęga handlowa pierwszego rzędu, może otworzyć dział bankierski, przyjmować oszczędności, płacąc od nich nizki procent, może otworzyć dział ubezpieczeń od ognia, na życie i innych. W ten sposób hurtownia może dojść do posiadania znacznych kapitałów. Dalej tak samo, jak w poszczególnej kooperatywie nie cały czysty zysk idzie do zwrotu członkom pro-rata zakupów, lecz tylko część jego, a reszta przelewa się na kapitał zapasowy, przeznaczony na rozszerzanie przedsiębiorstwa, tak samo, powiadam, i hurtownia tylko część czystego zysku zwraca stowarzyszeniom każdemu pro-rata zakupów, a pozostałą część przeznacza na rozszerzenie przedsiębiorstwa. W danym wypadku rozszerzeniem przedsiębiorstwa będzie *przerzucenie się na produkcję wielko-przemysłową i rolną.* Istotnie, kto, jak angielska hurtownia wie, że sprzeda rocznie sklepom związkowym za 25 miljonów rubli cukru, lub 7 miljonów kilo herbaty, i w tym stosunku towarów wełnianych, bawełnianych i innych, ten może założyć własną cukrownię, eksploatować własne plantacje herbaty, budować własne przędzalnie, tkalnie i wszelkie inne fabryki; może też nabywać majątki ziemskie: Rynkiem zbytu dla tych wszystkich produktów, rynkiem pewnym i olbrzymim, będą tu związkowe stowarzyszenia, na których opiera się hurtownia. Magiczny wyraz: produkcja jest wypisany w myślach i zamiarach, zresztą codzień coraz bardziej urzeczywistniających się, wszystkich kierowników hurtowni kooperatywnych.

Produkcja ta rozwija się na tle uprzednio zorganizowanego spożycia, zgodnie z zapotrzebowaniem, z zapewnionym rynkiem zbytu i dlatego pod względem swej solidarności o całe niebo przewyższa produkcję kapitalistyczną i anarchiczną, regulowaną przez przypadek lub przez grube tylko przewidywania. Jasną jest rzeczą, że hurtownia rozpocznie produkcję od takich produktów, które z pewnością i całkowicie znajdą zbyt w związkowych sklepach. I o ile tylko sklepy zechcą się zaopatrywać w hurtowni, wszelkie ryzyko jest wykluczone. *Produkcja kooperatywna oparta na uprzedniej organizacji spożycia, jest produkcją planową, ściśle uregulowaną przez zapotrzebo-*

Roll przerażony tym wybuchem, chwycił go za ramię.

— Co robisz, dlaczego płaczesz, Andrzeju, zastanów się! — Ale widząc, że to nie pomaga, wziął go za ramię i podniósł z krzesła.

— Chodź, przejdziemy do gabinetu. Tam będziemy mogli porozmawiać spokojnie.

Gdy się znaleźli w małym, na czarno wytapetowanym pokoju, mającym nieuzasadnione pretensje do japońszczyzny, Andrzej upadł na kanapę i nie odrywając się, leżał tak bez ruchu czas jakiś. Dopiero po chwili, wypiwszy szklankę wody, którą mu z tkliwością podał Jan, uspokoił się trochę.

— Wybacz Janie — szepnął ledwie dosłyszalnie — ale to z radości... Bo wyobraź sobie, że ja właśnie dzisiaj...

Urwał i uśmiechnął się niewyraźnie.

— Co dzisiaj?...

— Dzisiaj dostałem rubla od gospodarza, który mi przyszedł wymówić mieszkanie. — Dał mi rubla, bo mu mdlałem w oczach... Och Janie!... co za świństwo!... Wziąłem pieniądze od człowieka, który mnie przyszedł z mieszkania wyrzucić, wygnać, który mi prawił morały i deptał po moich poezjach... Tak, tego już było dosyć.

Roll lekko pobladł...

— Chciałeś...

— Tak. Nie mogłem inaczej. Właśnie za tego rubla... chciałem... Wszystko jedno jak...

Jan uśmiechnął się z przymusem.

— No, ale wszystko minęło — zawołał wesoło. Posiedzisz u nas jakiś czas, dostaniesz posadę i wszystko będzie dobrze. Żona ma stosunki i bardzo łatwo wystara ci się o jakąś kondycję. No, a teraz napijmy się wina!

— Proszę zamrozić jedną Pommery — rzekł do zdumionego kelnera, który nie mógł się nadziwić, widząc honorowanie takiego obdartusa.

— A tego gospodarskiego rubla — rzekł Roll — to schowaj na pamiątkę. Może ci przyniesie szczęście jak postronek powieszonego.

— Rzucę mu go w twarz!

— Nie, schowaj! Rzucisz mu innego — razem z komornem.

— Janie...

Wzruszenie, przepełnione radością, nie pozwoliło poecie mówić. Objął go tylko ramieniem i przycisnął się do niego, jak dziecko do matki.

— Janie — zawołał. Jeżeli uczynię ci kiedy jaką przykrość, zabij mnie jak psa... bo pamiętaj... ta nędza, która mnie dławi i ssie jak trujący pająk... ta

wanie. Przyczyny szalonego marnotrawstwa, tkwiące w istocie produkcji kapitalistycznej, a wynikające z konkurencji i z kosztów poszukiwania rynków zbytu, w gospodarce kooperatywnej są wyrwane z korzeniami. Kapitalistyczną reklamę w poszukiwaniu rynku zbytu zastępuje w kooperatywie *propaganda idei kooperatywnej.* Istotnie im więcej członków przystępować będzie do kooperatyw i im gorliwiej będą oni w nich zaspakajać swoje potrzeby, przez to samo rozszerzać się będzie kooperatywny rynek zbytu, rynek samowystarczający sobie, wciąż większy, jak nowy piękny ląd, usłany kwietnikami, co stopniowo wynurza się z oceanu błota kapitalistycznego. To też, wszędzie obok hurtowni kooperatywnej, która jest centralnym organem gospodarczym, widzimy drugi centralny organ umysłowo-teoretyczny, intelektualny, tę duszę kooperatywy, z której promieniuje jej ideja, rodząca czyn.

Wszystko co nabywa kooperatywa, wszystkie domy, fabryki, które buduje, wszystkie place i majątki które kupuje są zbiorową własnością nieograniczonej liczby spożywców, i w ten sposób raz na zawsze wychodzą z obiegu handlu kapitalistycznego.

Oczywista rzecz, że w tak rozszerzonej kooperatywie pracuje cała masa osób, które będąc najemnikami, powinni się łączyć w związki zawodowe, targować z kooperatywą-pracodawcą o place, słowem ich dzisiejsza sytuacja najemników, jako wytwórców, pozostaje zasadniczo ta sama. Lecz każdy z tych najemników jest spożywcą i w tym charakterze może stać się członkiem zbiorowego grona własnego patronatu, czyli znów pośrednio i częściowo własnym pracodawcą. Jako najemnik, otrzymuje on pensję; jako spożywca zwrot od zakupów. *Jako najemnik — wytwórca jest on członkiem związku zawodowego, który wykonywa produkcję; jako spożywca, jest członkiem kooperatywy, która wyznacza produkcję i reguluje ją odpowiednio do zapotrzebowania.*

Ponad krajową organizacją spożycia wznosi się jego organiz. międzyn. Ponad hurtowniami krajowymi, które właściwiej byłoby nazwać krajowymi związkami gospodarczymi, wznoszą się zaczątki *hurtowni międzynarodowej,* dotąd w postaci zakupów, czynionych przez jedne hurtownie u drugich. Trudni się tym „międzynarodowy komitet hurtowni koooperatywnych". „Międzynarodowy aljans kooperatywny", jest znów wszechświatowo centralnym organem umysłowym kooperatywy. Zakupy czynione przez hurtownię międzynarodową dla zaposiłkowania hurtowni narodowych mogą być oczywiście jeszcze większe, jeszcze bardziej planowane, jeszcze na korzystniejszych warunkach otrzymywane, a przedwcześnie torują one drogę do produkcji, uregulowanej na podstawie wszechświatowego zapotrzebowania. A zatym kooperatywa, rozwijając się i zataczając coraz większe kręgi, stopniowo ruguje gospodarkę kapitalistyczną i zastępuje ją własną doskonalszą gospodarką: kooperatywa lokalna tworzy nowe formy drobnego handlu i drobnego przemysłu, oraz rzemiosła. Kooperatywa narodowa organizuje w nowej postaci najprzód wielki handel, potym wielki przemysł, wreszcie rolnictwo. Kooperatywa międzynarodowa — dodaje bodźca kooperatywom narodowym, wzmacnia ich pozycje i daje planowość, obliczoną na cały ród ludzki, a przynajmniej na jego czołową część. Cała ta przyszłość już ma wszystkie swoje organy, które tylko rosnąć i krzepnąć powinny. W swoim ostatecznym rozwoju ruguje ona zupełnie gospodarkę kapitalistyczną zastępując własną.

Istotnie, jeżeli wyobrazimy sobie, że wszyscy zaspakajają swoje potrzeby w sklepach kooperatywnych, że sklepy te prowidują się w hurtowni kooperatywnej, która z kolei we własnych przedsiębiorstwach wszystko produkuje, to mamy tu zupełnie zamkniętą, zupełnie wystarczającą sobie, a całkiem nową organizację ekonomiczną, która leży na linji przedłużenia już istniejącej organizacji kooperatywnej. Niewątpliwie w miarę tego, jak kooperatywa nabywać będzie coraz więcej nieruchomości, a szczególniej ziemi, tej jedynej nieruchomości ograniczonej ilościowo pieniądz, jako środek nabycia nieruchomości, będzie tracić na wartości, inaczej powiedziawszy nieruchomości te stawać się będą coraz droższe, więc i kooperatywa będzie musiała za nie drożej płacić. Łatwiej wówczas będzie sobie poradzić z domami i fabrykami, gdyż te kooperatywa może sobie na nowo pobudować, o ile ceny starych będą zbyt wygórowane; wskutek czego oczywiście stare budowle po wycofaniu się głównego nabywcy znów spadną w cenie. Lecz nowej ziemi zdatnej pod uprawę kooperatywa sobie żadnym cudem nie wybuduje. Można sobie zatym wyobrazić walkę kooperatywy, głównego nabywcy produktów rolnych, z jakimś gigantycznym trustem właścicieli ziemskich, głównych producentów rolnych. Lecz do

---

nuda... psiakrew nie mogę mówić. . przysięgam ci. . Janie...

— I nie zaprzesz się mnie — nim kogut trzy razy zapieje?

— Oknem wyskoczę! zarżnę żyda w biały dzień na Nalewkach, zrobię sobie harakiri — wszystko, co chcesz.. — Głos mu drgnął wzruszeniem. — Bo ty mi dajesz lepsze życie.

I znów go uścisnął serdecznie.

* * *

Jan Roll pracował w dużym biurze ubezpieczeniowym i zarabiał doskonale. Niezależnie od tego procent od posagu żony, pozwolił mu urządzić swoje życie według najwyższej skali jego wymagań. Mieszkał więc w pięciu pokojach, jadał doskonałe obiady i chodził do teatru tylko do pierwszego rzędu krzeseł. Nie dowodzi to jednak, aby Jan był bezdusznym filistrem. Przeciwnie, jego uczuciowa natura dała mu szczerą, ludzką dobroć. Jan w swojej szlachetności, nie był ani pospolicie głupi, ani prowokacyjnie ofiarny. Jeżeli uczynił coś dobrego komu — to potrafił nadać temu ton zwykłego czynu. Miało się wrażenie, że Jan spełnia swój obowiązek, który przychodzi mu z łatwością, o którym nigdy nie myśli.

Przy tym wszystkim nie odznaczał się zbytnią afektacją, tak często towarzyszącą egzaltowanym naturom. Nie szukał biedaków, potrzebujących pomocy, ale też nigdy jej nie odmawiał nikomu. Był zawsze spokojny, małomówny w dobroci, która była jego przyrodzoną właściwością, naturą, czymś nieświadomym, a istniejącym w nim samym bez udziału wpływów postronnych.

Jan prowadził życie nad wyraz skromne, nie wychodząc prawie z domu poza godzinami swojej pracy. Jedyną wielką szczerą namiętnością była jego żona. Kochał ją całą duszą, wszystkimi myślami — prawie jak nieziemską istotę! Pani Emilja była dla niego całym światem, który by oddał za jeden jej uśmiech, otaczający go szczęściem bez granic. O żonie też wyrażał się z uwielbieniem, graniczącym z niedorzecznością, pełnym całkowitego oddania i rozrzewniającej miłości.

Andrzej, który dzięki niemu mieszkał w jednym z pokojów, jak margrabia, pełen gestów szczęśliwości, musiał godzinami słuchać jego zachwytów nad żoną, zasługującą i według niego również na zupełne uwielbienie. Poeta zresztą czuł do Jana taką wdzięczność, że przyznałby mu słuszność we wszystkim. Nie mógł zatym sprzeczać się o to, co było zbyt widoczne.

Nieraz o zmierzchu Andrzej, siedząc w salonie, zagłębiony w fotelu, myślał o zmianie swego losu i uśmiechał się błogo. Było mu dobrze, jak w raju,

tego nie dojdzie. Prawidłowo rozwijająca się kooperatywa zdoła złamać taki trust, zanim się jego myśl zrodzi, a to w dwojaki sposób: przedewszystkim nabywając własne majątki ziemskie, które byłyby bardzo intensywnie prowadzone i pozwalały do pewnego stopnia obchodzić się bez prywatnej produkcji rolnej, a następnie *inkorporując* spółki rolne, lub poszczególnych właścicieli ziemskich.

Ta myśl wymaga bliższego objaśnienia,

Proces inkorporacji w stosunku do spółek rzemieślniczych i kooperatyw wytwórczych spotykaliśmy dość często. Polega on na tym, że zrzeszenie drobnych samodzielnych producentów, które na własne ryzyko założyło jakiś przedsiębiorstwo, normuje jego produkcję i stopniowo przekształca zrzeszenie drobnych samodzielnych producentów w swoich najemników.

Jerzy Kurnatowski.

Południowa strażnica Polski.

Będę mówił o jednym z najpiękniejszych zakątków ziemi polskiej — ogółowi naszemu prawie wcale nieznanym. Jest nim część północna t. zw. Słowacji, należącej do Węgier. O krasie tej polskiej dzielnicy na Węgrzech wie już niejeden taternik. Zawdzięczać należy „odkrycie" tej polskiej krainy uczonym czeskim Polioce i Szemberze. Następnie i polscy uczeni i dziennikarze zdecydowali się obwieścić rodakom o „nowym" polskim uziemiu (terytorjum).

Pisano już o tym w *Bibljotece Warszawskiej*, *Przeglądzie Narodowym*, *Przewodniku naukowo-literackim*, w *Pracy*, *Ziemi* i *Świecie Słowiańskim*, a nakoniec w *Krytyce*. Największej wagi nabiera traktowana rzeczowo i ujęta w pewien system — odbitka z pracy p. E. Kołodziejczyka p. n. „Ludność polska na Górnych Węgrzech", ogłoszona swego czasu w *Świecie Słowiańskim*.

Nadewszystko ważnym jest zagadnienie liczebności i rozsiedlenia naszych rodaków w północnej Słowacji. Ale właśnie ten miąższ sprawy jest orzechem dość trudnym do zgryzienia.

Bo jak tu obliczać Polaków na Górnych Węgrzech, gdy oni. . zniknęli od roku 1850 go z wykazów spisowych. Jednak zniknęli jeno dla „macherów" wielkiej polityki madziarskiej, ale dla polskiego ludoznawcy tak, jak istnieli za czasów Bolesława Chrobrego, istnieją obecnie.

Niezwykle szybko, bo w ciągu kilku dni spisowych, rząd madziarski wyzbył się w swym państwie jednej kwestji narodowościowej, to jest zatargu o prawa Polaków.

Bo w r. 1850 było tu podług obliczeń urzędowych — 50,000 głów polskich.

Pomimo istniejących, i to w dość silnym stopniu, wpływów wynaradawiających na korzyść Słowaków przez kościół katolicki i Madziarów gwoli całej machinie państwowej, liczba naszych ziomków — nie zmniejszać — lecz powiększać się musiała. To też słusznie autor wyż. napomkniętej rozprawy — określa Polaków węgierskich na 125,000 głów osiadłych wzdłuż granicy galicyjskiej w pow. Czachim (żupaństwa Trenczyńskiego) dalej w żupaństwach: Orawskim, Spiskim i Liptowskim, Abaujskim, Zemplińskim.

W dużym stopniu podtrzymuje polskość tego uziemia — osadnictwo bardzie; uświadomionego pod względem narodowym — górala podhalskiego.

A o rozlewności i prężności narodowościowej naszego chłopa z czwartego zaboru mogą służyć fakty polszczenia szmata ziemi od dawien dawna przez Niemców skolonizowanego między Białą i Keżmarkiem i polanizacja częściowa osad ruskich. Tak czyni zapomniany zgoła przez Macierz i „ojców narodu" — polski chłop. Trzeba dodać, iż nie tylko etnograficznie ta południowa strażnica nasza jest polską, jest nią narówni i dziejowo.

Z Polski tu sięgały za czasów wielkiego Chrobrego promienie cywilizacji ..

Z Polski również płynęła nowa podówczas dla tej krainy, wiara chrześcijańska.

Z Polski pełno tu pamiątek, bo cała Słowacja lat 1,000 temu — była rdzennie polską krainą.

Nakoniec dopiero w r. 1770 Spiż odpadł od żywego ciała Rzeczypospolitej, zagrabiony przez Habsburgów. Więc wiele tętnic krzepko wiąże tę krainę z naszą przeszłością.

Galicja, z jedynym sejmem polskim, polskim samorządem, swobodnie kwitnącymi instytucjami ojczystej kultury i oświaty, nakoniec z rzeszą polskich

---

który według niego nie powinien inaczej wyglądać. Niezwykła uprzejmość i delikatność Jana i jego żony wprowadziła go w stan zachwycenia. Ilekroć myślał o swojej czarnej norze i obecnych warunkach życia, chwytała go taka szalona, tkliwa wdzięczność dla tych dwojga ludzi, że miał ochotę całować ich po rękach i przysięgać wierność do końca życia.

Całymi godzinami siadywał w fotelu i paląc papierosa za papierosem — słuchał gry pani Emilji. Młoda kobieta, podobna do słodkiego witrażu na szybie kościelnej — cicha jak motyl i dobra bez granic, oddziaływała na Andrzeja swoją grą, jak skromne, pełne rzewności nabożeństwo na duszę nawróconego grzesznika. Andrzej, słuchając przejmującego łkania szumanowskich pieśni — syty i czysty, ubrany niemal wykwintnie, czuł się wrócony światu. Życie wydawało mu się czarującą symfonją, pełną rozkosznych czarów, do których przywiązywał się z dnia na dzień coraz bardziej. Na samą myśl, że może wrócić do dawnej nędzy, chwytał go strach i mrozem przenikał do kości. W takiej chwili wyglądał jak człowiek, któremu przeczytano wyrok śmierci i wie, że nic już nie zdoła odmienić przeznaczenia.

Słodka uprzejmość p. Emilji rozwiewała trwogę. Jedno jej słowo, jeden dobrotliwy uśmiech wracał mu spokój. Instynktownie czuł, że z tej strony nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Był pewny, że Jan nie posądzi go nigdy, aby za jego dobroć mógł się zrewanżować w tak podły sposób, jak chęć bałamucenia żony przyjaciela. Podobną myśl odsuwał od siebie z przerażeniem. Na szczęście, nic nie nasuwało podobnych przypuszczeń. Poeta czuł się jak u dobrych, kochających blizkich krewnych — i harmonja między tym trojgiem ludzi trwała nie zamącona najmniejszym dysonansem.

Właśnie w tym czasie Jan wręczył nową „pożyczkę" Andrzejowi na zapłacenie komornego. Poeta, chociaż nie wspominał o tym, pragnął z całej duszy oddać Górnickiemu zaległe komorne. Rubel, którego za radą Jana schował do szuflady biurka, ilekroć na niego spojrzał — palił mu policzki dotkliwym wstydem.

Z niekłamaną radością przystroił się i wstąpiwszy po drodze do fryzjera, gdzie również kupił flaszeczkę dobrych perfum, powędrował do świetnie znanej sobie kamienicy.

D. C. N.

przedstawicieli w parlamencie wiedeńskim i austryjackich delegacjach, mających bezpośrednią łączność z przedstawicielstwem węgierskim, niezajmując się, mimo licznych nawoływań, za bytowaniem narodowym tysięcy Polaków siedzących o miedzę — grzeszy srodze wobec naszej przyszłości.

Nasi działacze chyba wiedzą jaką wielką korzyścią narodową może być odzyskanie dużej połaci ziemi, tuż podle naszych granic leżącej, rzadko zaludnionej i ze względu na wielkę taniość gleby będącej dla coraz to przeludniającej się Galicji świetnym obszarem osadniczym.

W końcu uświadomić sobie musimy, że czekać nas musi starcie z węgierską „endecją”, która tak gładko pod bokiem naszej „letniej stolicy” — Zakopanego — „rozszerza” stan madziarskiego posiadania.

Wreszcie musi, tyle zasłużone, „Tow. Szkoły Ludowej” począć siewbę oświatową na tych górnowęgierskich kresach, bo dnia każdego wróg czy to w sutannie słowackiego księdza, czy w postaci madziarskiego nauczyciela i urzędnika czyha na złowienie polskich dusz. Czas już ratować południową rubież Polski — by następne pokolenie, w tych samych co nasze zbożnych zamiarach — nie zastało już tylko... mogiły.

Jur Kamieński.

Filozofja mody.

Panie, które dopiero co przebyły epokową ewolucję kształtu kapelusza z koła samochodowego na czako napoleońskie, a nie ochłonęły jeszcze po denerwujących wrażeniach z fiaska „jupe-culotte” i z coraz groźniejszych zwężeń sukni spętanej, panie te zadziwią się może i oburzą, jak można modę stawiać w tak bliskie sąsiedztwo z filozofją. Dziś jednak filozofja bierze się do wszystkiego, natrętnie wciska się w sprawy codzienne i bada je, stało się nawet modą łączyć wyraz: filozofja lub psychologja, z jakimś dopełniaczem i na ten temat pisać monografję. Pisze się więc nietylko filozofję wojny (Steinmetz), lecz także filozofję gry hazardowej (Swoboda), szachów (Wekerle), odwagi, egoizmu (Ewald), pieniądza (Simmel), botaniki (Reinke) i zapewne wiele innych, które niech sobie czytelnik sam powymyśla, próbując różnych dopełniaczy poważnych i niepoważnych. Ostatnią modą są zresztą już monografje socyologiczne (doskonałą napisał Simmel o socyologji — jedzenia). W gruncie rzeczy to przesilenie monograficzne jest objawem na polu dociekań abstrakcyjnych bardzo dodatnim. Nauka spekulacyjna schodzi z wyżyn jałowych uogólnień i udawanych dedukcyj, i próbuje przez różne wejścia opanować materjał konkretny życia i dopiero przebijając się przezeń dotrzeć do jakiegoś wspólnego rdzenia. Takie monografje, powołując się na przykłady aż nawet niespodziewane swą zwykłością, posiadają wdzięk łatwej sprawdzalności, a że najczęściej zmuszają autorów do szukania nowych metod, podyktowanych odrębnością przedmiotu, pokazują przez to, jak mnogie punkty widzenia zawarte są w praktycznych sprawach życia poza oryentacjami już utartymi. Jerzy Simmel jest zachwycającym, wciąż pomysłowym odkrywcą takich nowych metod. Jego monografje więcej wprowadzają w przepaście filozofji, niż zaokrąglone systemy syntetyczne dawnych filozofów. Poza tym zresztą wydaje mi się, że owe poszczególne filozofje, socjologje i psychologje są wstępnymi studjami do szerszej obecnie krystalizującej się wiedzy: wiedzy o technice życia. W 1 numerze *Logosu* (czasopismo niemieckie dla spraw kultury) dał Simmel najpiękniejszy może rozdział z tej wiedzy, wywodząc, jak wielką rolę w rozwijaniu się wątka życiowego jednostki gra pewność śmierci, która jest niejako wagą u tego zegaru.

Ale od śmierci wróćmy do niemniej modnej rzeczy — jaką jest moda sama, która jest nieśmiertelna. Od najdawniejszych czasów próbowano ją zabić szyderstwem lub potępieniem, piorunami z kazalnicy, ustawami, — na nic się jednak to wszystko nie przydało, moda żyła. Żyła we wszystkich dziedzinach ekspansji człowieka, ale widocznie objawiała się w jednym: w stroju; strój zaś czemże jest — nota bene filozoficznie — jak nie drugą dobrowolną i zmienną skórą człowieka, jego upierzeniem, opancerzeniem, ofutrowaniem — wogóle sztucznym ciałem. Ale w średnich wiekach, gdzie każdy stan miał strój przepisany, panowała ta dziesiąta, zapomniana przez mitologję muza bardziej incognito, złoty wiek jej rozpoczął się od czasów rewolucji francuskiej. Wiek XIX, wiek wynalazków, był także obfitym w wynajdywaniu kwestji i problematów, odkrył więc i modę, a jej wykwit najsubtelniejszy — nie gogo lecz snob — w tym wieku właśnie otrzymał chrzest piórem znakomitego Thackeraya, którego setną rocznicę śmierci w tym roku właśnie obchodziły niektóre — snoby. Odkrywszy modę, wiek XIX zassuggerował ją sobie na nowo, zaczął ją uprawiać świadomie i z wyrafinowaniem. W miarę tego i filozoficzne stanowisko brzydszej połowy ludzkości względem mody zmieniło się gruntownie. Walka z modą nie wydaje się dziś nikomu czemś tak łatwem, jak naprzykład odzwyczajenie się od tytoniu, przeciwnie — kto wie nawet, może byłaby taka walka operacją szkodliwą, naruszającą najżywotniejsze tkanki organizmu społecznego i gospodarczego?

Zatraciliśmy ferwor moralistyczny naszych pradziadów, ufających w możliwość natychmiastowej zmiany natury ludzkiej; dziś się modę nietylko toleruje, ale bada się ją z szacunkiem, wylicza jej dobrodziejstwa. Moda nie jest już ani omamem djabelskim ani głupstwem, lub kaprysem, ale — zjawiskiem. Wszak socjolog Tarde, stwierdzając, że pochodem kultury rządzą dwa prawa: oryginalność i naśladownictwo, przypisał naśladownictwu, a więc i modzie, zadanie niej ako asymilowania, przetrawiania wynalazków, a więc uznał w niej drugicenny czynnik kultury.

Pełne melancholijnej rezygnacji stanowisko wobec mody zajmuje W. Fred w swojej monografji „Psychologja mody” (w zbiorku Muthera „Die Kunst”). Niema tu jednak ani krzty docieckań psychologicznych; jest to tylko przegląd historyczny różnych mód w stroju, w sztukach plastycznych, w literaturze. Fred z goryczą wyraża się o snobach literackich, teatralnych, muzykalnych, naukowych, politycznych i t. d., którzy kompromitują każdą myśl oryginalną przez przyswojenie jej sobie i przez to — tu byłoby przeciwieństwo Freda do Tarde'a — uniemożliwiają jej owocny rozrost, tak, że twórcy owych myśli, przerażeni takimi konsekwencjami, muszą potym sami występować przeciw wszczętemu przez siebie ruchowi. W rozdziale o „nadużytej tęsknocie” przytacza Fred, że ofiarę takiego nieporozumienia ze snobami padły idee Nietzschego: epidemicznie grasowało słowo „wyżyć się” (i u nas), albo manja „przezwyciężania” (i u nas!) zaś nauka o „dumnej pokorze” wyrodziła się w prostą bezczelność. Podstawą tęsknoty do „cyganerji” była tęga i cenna opozycja przeciw filisterstwu; wnet jednak filisterstwo przyswoiło sobie i ten gest, rozczochranie, nieporządek, brak formy, stały się nową regułą.

Ale właśnie najcharakterystyczniejszymi wypadkami snobizmu są te, które dotyczą idei z urodzenia opozycyjnych lub indywidualistycznych. Rozkładcza siła mody, mimikry snoba, włażącego wszędzie, występuje tu tryumfalnie. Szkoda, że Fred nie zadał sobie pytania, czy jednak — podobnie jak pewne owady w gospodarstwie przyrody — snoby nie odda-

ją kulturze usługi przez to, że doprowadzają pewne idee do niedorzeczności?

Szacunek dla mody wyrobił się głównie na tle poczucia jej nierozerwalnego związku ze współczesnym ustrojem gospodarczym. Znany ekonomista Sombart napisał o tem rzecz p. t „Gospodarstwo i moda". Gaulke w rzeczy pod nagłówkiem: „Moda, jako zjawisko społeczne i erotyczne" („Die Wage" VIII, nr 27), tak przedstawia gospodarczą podstawę mody: Symbolem równouprawnienia klas stała się jednolitość stroju. Ale ta jednolitość mogła się pojawić dopiero wskutek rozwoju przemysłu fabrycznego. Gospodarstwo dawne produktowało, aby pokryć pewne potrzeby, kapitalistyczne wytwarza aby produkty jak najkorzystniej zbywać. Dlatego musi sprzedawać jak największej liczbie ludzi i jak najczęściej. Przedmiot zbytu musi więc być dość prostym i celowym, aby odpowiadał odbiorcom i z tym liczy się fabrykant, nie może się jednak liczyć z indywidualnym smakiem odbiorców i wynagradza im to — modą. Mody zaś potrzebuje fabrykant, aby wciąż na nowo zachęcić publiczność do kupowania. W zakresie strojów uwydatnia się to najlepiej. Mody narzuca tu wyraźnie przedsiębiorca. Z początkiem sezonu spieszą fabrykanci sukna do Paryża i obmyślają wraz z „marchands tailleurs" kampanję. Jeżeli poprzedniego sezonu noszono rękawy w formie lejka, to teraz zwęzi się je o trzy centimetry, potem znowu o trzy i tak dalej, aż staną się zupełnie ciasne. Moda to niewymyślna, lecz przedsiębiorcy wolą takie właśnie mody, które rychło popadają w zapomnienie, aby módz potym zacząć „da capo" bez wysilania fantazji. Taką modę „lansują" potym aktorki i wielkie kokoty na bulwarach, wyścigach, w salonach i teatrach; prasa omawia ją, konfekcjoniści z całego świata zjeżdżają się, aby „ostatnie słowo mody" zawieść co prędzej do domu. To samo odbywa się w Londynie odnośnie do ubrań męskich. Tymczasem odbiorcy zdążyli już zużyć towar poprzedni muszą sprawić sobie nowy. Gorsza jakość towaru bowiem wskutek nowej techniki — to także jedna z przyczyn mody. Oprócz potrzeby kupna, suggestji mody, czychają na niego inne sztuczki. Oto na przykład ochota publiczności do kupna rośnie, gdy nowy towar wykazuje pewne drobne różnice w porownaniu z poprzednim. Zręczny przedsiębiorca wyzyskuje te słabostkę publiczności jeszcze i w inny sposób, puszcza na rynek tanie podróbki na pozór cenniejsze od poprzedniego towaru. I teraz dzieli się publiczność na dwa obozy „znawców": jedni znawcy kupują falsyfikat jako „najostatniejsze słowo" mody — to są entuzjaści; drugi typ — znawców sceptyków — odwraca się z pogardą od falsyfikatu i szuka do zakupna innego przedmiotu, któryby im dał poczucie wyższości ı ad tamtym typem, wyszuka sobie taki rarytas, zdradza sekret przyjaciołom, tworzy się sekta kupująca ową rzadkość, która wreszcie pewnego pięknego dnia wyjeżdża hałaśliwie na tron mody. Z podobnych też pobudek pewne warstwy społeczne, które za każdą cenę chcą nadawać ton, muszą wciąż wymyślać zmiany w swoich utensyljach, aby odróżniać się od tłumu. I tak na przykład wszystkie formy krawatek poprzedniego króla angielskiego „poszły w lud", co zachęcało go do coraz to nowych i piękniejszych pomysłów.

W tym opisie Gaulkego czujemy już jak się zarysowuje właściwa istota mody: pewna warstwa z mody się niejako wyprowadza, a druga wprowadza, obejmuje po niej spadek. To prowadzi nas już wprost do genjalnych kombinacji, które nam pokazuje Jerzy Simmel w swojej „Filozofji mody" (w zbiorku „Moderne Zeitfragen"). Wyczerpuje on istotę mody, jej rytm, jej warunki, w takich formułkach, że gdyby kiedy znikła, wyparowała z powierzchni ziemi. gdyby ją panie zgubiły, jak się gubi torebkę i w następstwie tego braku wszczęły lament bijący w niebiosa i postawiły mężczyznom zadanie: „albo wróci moda, albo..." — to według tych formuł można będzie modę na nowo zmontować, usmarzyć, wyczarować, jako że zrobił to berliński profesor Wszechnicy i to do tego miljoner, chociaż miljoner genjalny.

(d. n.). *Karol Irzykowski.*

KRYTYKA.

Kościół i religja w pojęciu Słowackiego.

I.

Pierwsza połowa X1X wieku — to niezmiernie ciekawy moment rozwoju poglądów religijnych i mistycznych. Jest przytym rzeczą charakterystyczną, że reformatorzy bardzo często stoją na gruncie kościoła katolickiego i wierzą w jego rozwój, choć odbiegają nietylko od katolicyzmu, ale i od chrześcjaństwa, i to w założeniach i dogmatach zasadniczych.

Wiele takich jednostek znajdziemy na zachodzie Europy, mianowicie we Francji, gdzie po 1830 r. przebywa kwiat naszego społeczeństwa. Wpływ ich na emigrację jest również niezaprzeczony [1]) jak wpływ kształtujących się wówczas idei i utopji społecznych, jak wpływ całego życia duchowego Francji, która przeżyła wielką rewolucję. Z tego względu emigracja jest zjawiskiem nieocenionym w historji porozbiorowej: wyrywa myśl naszą z ciasnego środowiska, nad którym, mimo wichru idei wieku oświecenia, ciążyły czasy saskie jako realność przeżyta i trudna do wykorzenienia.

Słowacki odbiegał nietylko od szerokich tłumów w kraju, ale i od ogółu emigracji. Był on jedną z tych nawskroś polskich natur. które najlepiej dałyby się określić jako uosobione *liberum veto*. Indywidualny w każdym calu, indywidualny nawet, gdy się zapożyczał, chłonący prawdy wszechświatowe i przerabiający je na swą miazgę wedle polskiego kroju, jest on Polakiem w całym tego słowa znaczeniu. Protest przeciwko nazwie i formie bez treści przeciwko sumaryczności idei jest zasadniczym tonem duszy poety.

Czym wobec tego jest dla niego kościół katolicki, łączący miljony odrębnych duchów i indywidualności mocą kultu i nakazu?

„W dzieciństwie moim widzę — opowiada Heljon w „Wykładzie Nauki", a słowa te odnoszą się do poety — księży, procesje, rezurekcje, odbywające się przy ogniu wystrzałów... zwłaszcza gdy w księżycową noc widziałem księży, wychodzących z krzyżem srebrnym na plac licealnego kościoła z pochodniami, z celebrantem, nad którym niesiono namiot złoty i jedwabny, drogiemi perłami wyszywany. Gdy to wszystko przy blasku miesiąca, przy biciu dzwonów północnych, przy błyskawicowych ogniach moździerzy szło i śpiewało, duch mój niby wylatywał ze mnie, klaskałem w ręce, a oczy moje dziecinne otwierały się szeroko, pełne łez i skier radosnych".

To są wspomnienia dzieciństwa, dość silne, aby poważny ślad w duszy zostawić. Zarazem jest to charakterystyka wrażliwej, artystycznej natury, na którą piękno kultu działa.

Czy to wszystko? Nie, jest jeszcze jeden pierwiastek, który pociąga Słowackiego w kościele kato-

[1]) Wykazał go szczegółowo Pawlikowski w „Mistyce Słowackiego".

lickim, a oddala go np. od protestantyzmu, choć skąd inąd moglibyśmy przypuszczać, że protestantyzm, pozwalający każdemu czytać i komentować Pismo Święte, jest mu bliższy. Pierwiastek ten—to, uczucie w przeciwstawieniu do protestanckiego rozumowania i wynikającej zeń chłodnej obowiązkowości. W liście do matki z dn. 15/X. 1845 r. poeta pisze o śmierci Hoffmanowej:

„Odpoczynek jej, ale nie pokój, bo jeszcze wiele czynić pozostaje, nawet ona sama wiele z tego, co uczyniła, wywrócić musi — tamy przeciwko egzaltacji kładzione.. serca przez nią na kluczyk od śpiżarni zamknięte, a które klucz nieszczęścia będzie musiał otworzyć na nowo. Bo nie na samych tylko prawidłach moralności stoi anioł żywota, ale i skrzydła ma, które go częściej na powietrzu utrzymują niż na nogach... Nie wiedząc, a sprotestantyzowała kobiety".

Nie umysł, lecz serce według poety powinno być zaczynem idei religijnej, nie z rozumowania, lecz z uczucia ma ona wykwitać. Ale to uczucie musi być istotne, twórcze i samodzielne. Duch własny człowieka niech poczyna w sobie ideję, niech ją wypracowuje męką bolesną.

I tu właśnie rozchodzi się poeta z kościołem, którego prawych wyznawców tak charakteryzuje w „Wykładzie nauki":

„Świętoszek, przerażony wszelką nowością i ruchem, przybiega z zakazem, abyśmy w materji wiary naprzód kroku uczynić nie śmieli, póki się na to papież wyraźnie bullą zapieczętowaną nie zgodzi".

Dla wiary, narzuconej przez zwierzchność kościelną, Słowacki ma pogardę, sądzi ją wprost jako zabójstwo ducha:

„I pasiono nas jako trzody, od świętych twoich tajemnic odganiano daleko... i wieki mijały, a ludzkość ani krokiem jednym ku prawdzie Ducha nie postępowała". (Urywki. Tom X. Gubr. str. 475).

„Ileż razy cierpiałem nad upodleniem religji, którą ludzie chcą tak podłymi sposobami przelęknionemu ludowi narzucić" (Wykład nauki).

Posłuszeństwo, wymagane przez kościół, nie jest bynajmniej cnotą według poety, lecz lenistwem sybaryckiego ducha:

„Stawiasz mi piękny ideał świętych. Ludzie nieużyteczni nikomu, którzy kilka dusz jałmużną splamili, kilka ranków w kościele przeklęczeli, zamknęli się w ciele własnym niby ślimacy, odjęli światłu siłę, jaką mieli, światło, z jakim je Bóg może posłał na ziemię... I po kilku miljonach miljonów lat spodziewasz się znaleźć gdzieś zachowane na wieczność te karykatury ludzkości, odpowiadające aniołowi sądu, który je zapyta o wiarę, że nie wiedzą, jaka jest, ale ją sądzą taką być, jaka była w uczonej teologicznej głowie księdza spowiednika. Co? Czy nie rozśmiejesz się serdecznie na dobroduszność tych mieszkańców wiecznych wieczności" (Wykład nauki).

Jeszcze ostrzej sądzi poeta bezwładność duchową w rzeczach wiary w *Dzienniku* z dnia 18/X 1848 r.

„Zlanie się z Bogiem nie może być inaczej, jak przez zupełne przebywania rozumu mego i uczucia mego w Bogu. Bóg więc wyobrażony czy to przez posąg, czy przez słowo niezrozumianego dogmatu jest pogaństwem".

Pogaństwem więc nazywa Słowacki uczucie stadne; nie zadawala go też uczucie płytkie „maluczkich", sam bowiem stoi na wyżynach nietylko uczucia, lecz i intelektu i jest arystokratą duchowym. Ileż pogardy wieje z tych strof I pieśni Beniowskiego, gdzie smaga „katolickie kwasy", którymi zlewa głowy poetów „ta kochana panna Prakseda, święta, aniołek jezuicki, wdowi".

Poczciwy Zaleski, płytki Witwicki z całą swą ortodoksją są dla niego drobiazgiem ludzkim z którym się liczyć nie warto. Walczyć można dopiero z Mickiewiczem i jemu zarzucać „drogę kłamną", „gdy śle na koronę potrójną papieża piorunem myśli podniesione" (pieśń V Beniowskiego).

Mickiewicz pomimo głębokiej przenikliwości umysłu, nie należał do tej kategorji ludzi, którzy umieją śmiało dochodzić do ostateeznych konsekwencji myślowych i wygłaszać zdania, szarpiące serca. Słowacki ma tę odwagę. Możnaby zastosować do niego słowa Nietschego—Zaratustry: „Kocham tego, kto gromi swego boga, albowiem boga swego kocha". Jeżeli płomienna, głęboka miłość ojczyzny nie wstrzymała poety od wygłoszenia pamiętnych strof z Grobu Agamemnona, to czyż dziecięce uczucie przywiązania do kościoła i artystyczne odczuwanie piękna kultu mogło wystarczyć do zakrycia mu oczu i zamknięcia ust wobec oburzających faktów polityki papieskiej i ogłupiających „jezuickich jadów"?

Mickiewicz dopiero, jako towiańczyk, poczuwszy w sobie siłę mistrza i proroka, zdobywa się na głośną krytykę papiestwa w *Trybunie ludów*. Encyklika Grzegorza XVI, wydana w 1832 r., zwrócona przeciw powstaniu listopadowemu i nakazująca lojalne posłuszeństwo, pobudza Słowackiego już jako młodzieńca do głośnego protestu, który tkwi w nim od czasów „Kordjana" do mistycznej „Rozmowy z matką Mokryną Mieczysławską" Stanowisko jego względem kościoła, jako organizacji, skrystalizowanej i określonej, jest zupełnie jasne, zarówno jak przekonanie o stosunku Polski do Rzymu. Znów należy przypomnieć strofy z I pieśni Beniowskiego i apostrofę do Polski:

„Jeśli masz z twoją rycerską urodą
Iść między ludy, jak wąż, co się wije,
Jeśli masz zrównać się z podstępnym Włochem
Zostań, czym jesteś... ludzi wielkich prochem."

A dalej owe silne i lapidarne: „Twa zguba w Rzymie".

Wyraźna linja demarkacyjna pomiędzy religją chrystusową, a kościołem katolickim uwypukla się zaraz o parę stof dalej:

Czołem bijący w marmur Chrystusowy,
Kiedym się skarżył na klątwy i zdrady,
Tom się i o ten kielich krwi octowy
Upomniał... i grób zaparł się: że gady
Z niego nie wyszły, lecz z urwanej głowy
Ten polip odrósł i lud wyssał blady.
Wygnać go była kiedyś wielka praca,
Ma nas za trupa ten szakal i wraca."

Zupełnie jasno występuje tu w poetyckim języku pogląd na kościół, jego wpływ na dzieje Polski i trudność wytępienia u nas klerykalizmu i ultramontanizmu, który wysysa lud blady.

Słusznie akcentuje się zazwyczaj chwilę przystąpienia Słowackiego do towianizmu 1842 r. jako punkt zwrotny w jego życiu duchowym, Nie należy jednak przeoczać faktu, że zasadnicze kontury bynajmniej się w nim nie zmieniły, wypełniły się tylko cieniami i barwami, stwarzając przy końcu życia doskonały, skończony obraz.

Nie można też powiedzieć np., że śmierć poety, opisana przez przyjaciela, późniejszego arcybiskupa Warszawskiego, Felińskiego, śmierć z przyjęciem sakramentów wedle rytuału katolickiego jest dowodem zmiany jego usposobienia dla kościoła. Trzeba wziąć pod uwagę to, że w pocz. XIX w. wogóle, a w Słowackim w szczególności tkwiła idea odrodzenia kościoła nie przez zamach zewnętrzny w rodzaju reformacji XVI w., lecz przez wewnętrzne przetworzenie dusz ludzkich. „Świętoszkowie winni, pisze on w „Wykładzie nauki", że kościół katolicki, ta straszna siła i potężny anioł czynu, nie ukazał się

wolny, ale zawsze w łańcuchu na nogach i rękach wlókł się za wypadkami świata. My nie śmierci onego anioła, ale uwolnienia z więzów prosić przyszliśmy, siły z ducha świętego płynącej upragnieni".

O stosunku człowieka do kościoła jako organizacji, sądzić nie można na podstawie tego, że zastosowuje się on do pewnych obrządków. Jednakowe formy kryć mogą treść bardzo rozmaitą. Znamienne są pod tym względem słowa poety w I rapsodzie I pieśni „Króla Ducha".

...„O, jakże ciekawe
Powody, które rządzą ciała bryłą!
O, jak są różne przed prawdy mistrzynią
Orły... choć wszystkie jeden hałas czynią."

I oto jeśli staniemy przed „prawdy mistrzynią", jeśli wczytamy się w ostatnie utwory Słowackiego, jak Wykład nauki, Dziennik, Zapiski w Raptularzu, Urywki, to nie zobaczymy tam ani na chwilę pogodzenia się z kościołem, uznania jego prawomocności. Przeciwnie czytamy sądy bardzo ostre i zdecydowane. Przytoczymy tu najbardziej charakterystyczne.

„I rzekł człowiek kościoła: więc nie wierzysz w nieomylność papieża, który od samego Chrystusa przez udzielanie i wkładanie rąk ducha dostał świętego?

A sługa ewangielji odpowiedział: Ducha Chrystusowego daje Chrystus tym, którzy czynią sprawę jego i cierpią dla ewangielji prześladowanie" (Wykład Nauki) „Z ducha pracuj, a ujrzysz, że w konfesjonałach najohydniejsze grzechy uszły słuchowi kapłana". (Wykład nauki) „Księża używają prawdy, nadając jej znaczenie fałszywe".

„Zrozumiejcie to — od tylu lat duchem bożym dzieją się wielkie rzeczy na ziemi i przemiany głębokie, ducha ukształcające, a przez hierarchję kościelną nic się nie dzieje".

„O, wyzwijcie tę marę, która ciągle udaje pracującą, a wszystko około siebie w proch i zgniliznę zamienia, więc wyzwijcie ją ostatecznie — niech siłę ducha okaże".

Urywki te nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości co do tego, jak Słowacki sądził kościół katolicki wraz z jego głową; nie wymagają one żadnych komentarzy.

Władysława Weychert-Szymanowska.

Wrażenia teatralne.

Dyrekcja teatrów rządowych warszawskich zdecydowała się wystawić przez dłuższy czas niegraną sztukę Wolffa „Marjonetki". Wstrzemięźliwość dyrekcji w wystawieniu sztuk o zakroju konwersacyjno-salonowym z łatwością może sobie wytłómaczyć każdy, kto miał nieszczęście wysłuchać rzeczonego wznowienia.

Utwór Wolffa, pozbawiony zresztą głębszej wartości literackiej, ma tę zaletę, że daje możność i szerokie pole popisu dla gry aktorskiej zwłaszcza w zakresie ról kobiecych.

Jeszcze do niedawna role te spoczywały w rękach wysoce utalentowanych, pełnych wdzięku i finezji artystek tej miary co Ludowa, a ostatnio Przybyłko-Potocka — one to nadawały ton i stwarzały dokoła siebie odpowiednią atmosferę; scena warszawska robiła naprawdę wrażenie arystokratycznego salonu ze wszystkimi półcieniami i wyrafinowaną finezją.

W ostatnich jednak czasach pierwsza scena polska stała się polem doświadczalnym, na którym cały szereg „wpływowych" ogrodników stara się zaaklimatyzować „swoje" roślinki, bez względu na to, czy odpowiedzą one choćby najskromniejszym wymogom artystycznym bardzo zresztą cierpliwej i potulnej publiczności. Mówiąc językiem życiowej prozy, o zaangażowaniu artystki i powierzeniu jej tej lub innej roli, nie decyduje talent i uzdolnienie, ale szerokość „pleców".

Tym sposobem p. Pawińska, w wielu razach potrzebna i pożyteczna siła, otrzymuje role, przerastające zasób jej uzdolnienia, tym sposobem p. Majchrzycka, p. Mirska p. Elsner i wiele innych znajdują się często nie na swoich miejscach, a cały niemal personel kobiecy przedstawia przerażającą szarzyznę i absolutny brak wykwitniejszych talentów.

Tymczasem Przybyłko, Siemaszkowa, i inne muszą szukać przytułku w teatrach i teatrzykach prowincjonalnych, bo nie mają ...„pleców"!

Podobno stara to i odwieczna historja — kobiety, jako „słabe" istoty, szukały zawsze poparcia u mocnych tego świata, nigdy jednakże „popieranie" to nie było tak jaskrawem i nie działo się z tak jawną krzywdą naszej sceny.

Panowie „wpływowi", przestańcie, bo się źle bawicie!

KŻ.

NA DOBIE.

Pastor i Kardynał.

Ostatnio zeszły ze świata dwie bardzo nierównej miary i wartości postacie — zmarł na Śląsku pruskim pastor ks. Jerzy Badura i rozstał się z tym światem w pałacu biskupim w Krakowie kardynał książę Puzyna.

Ze szczerą czcią i wzruszeniem składamy tu hołd pośmiertny pierwszemu z nich, który żył zapomniany i umarł samotny; ten skromny pastor-Polak iście cierniową wtłoczył sobie na skronie koronę, walcząc przez całe życie z zachłanną niemczyzną, z ciemnotą ludu i nieprzyjazną dokoła siebie apatją; czyż mógł inny mieć żywot ten, kto z najtwardszych obowiązków wybrał sobie najbardziej krwawy trud: szczepienie uczuć polskich wśród ewangelików-szlązaków?

Czynił to pastor Badura. Przez 10 lat wśród najgorszych jakie wyobrazić można warunków materjalnych, wydawał we Wrocławiu, w centrum szlązkiej hakaty, pismo polskie *Nowiny dla ludu ewangelickiego*, które zostało w końcu zduszone przez konsystorz w chwili gdy stanęło na trwałych podstawach.

Do ostatniego tchnienia stał pastor patrjota na tej dalekiej, niewdzięcznej, zaniedbanej placówce — i padł jak żołnierz, z imieniem ojczyzny na ustach.

Cześć jego pamięci!

Innymi — górniejszymi — szlaki wiodło kardynała księcia Puzynę przeznaczenie. Wiodło go po salonach magnatów, po rzymskich pałacach, po biurach wiedeńskich na krakowski tron biskupi, skąd wyniosły ten i nieużyty purpurat rzucał od czasu do czasu narodowi warkliwe *quos ego!*

Jakoż wsławił się głównie Puzyna podwójnym popisem zakazczym: w r. 1903-ym z polecenia Austrji i Niemiec wniósł *veto* na *conclave* przeciw obiorowi kard. Rampolli na następcę Leona XIII-go, a w r. 1910 w Krakowie rozkazał zamknąć bramy Wawelu przed trumną autora *Króla Ducha*.

Twardy, oschły kosmopolita, dygnitarz Kurji papieskiej a zarazem austro-niemiecki urzędnik do szczególnych poruczeń — był ten Puzyna figurą tak niepopularną i niemiłą, że nawet przysięgli jego apologeci w sutannie, pisząc chwalebny w *Dzienniku Powszechnym* nekrolog, w liczbę *zasług* zmarłego kładą „zamianę szczupłej dotacji, jaką biskupi krakowscy

pobierali, na trzykroć większą intratę przynoszące dobra pobenedyktyńskie w Tyńcu...!"

Chowany wśród zimnej obojętności narodu, w świetnej asyście papieskich i habsburskich urzędników, spoczął Puzyna na Wawelu — na miejscu wydartem popiołom Juljusza Słowackiego...

Ferrer japoński.

Jeden z paryskich naszych czytelników nadesłał nam następującą ciekawą notatkę:

Dr Kotoku, stracony niedawno w Tokjo wraz ze swą rodziną i kilkunastu jeszcze towarzyszami, znany był szerokiej publiczności wyłącznie jako „anarchista" i przywódca grupy, spiskującej na życie Mikada. Ponieważ znanym był również jako antyklerykał i tłumacz dzieł Tołstoja i Szekspira na język japoński, przeto egzekucja jego wywołała pewien odruch protestu w Europie — i na tym koniec. Obecnie wszakże dowiadujemy się coraz więcej szczegółów o tym niezwykłym i światłym człowieku; jak się okazuje, jego męczeńska śmierć miała *bardzo dużo* wspólnego z męczeńską śmiercią więźnia z Montjuich. Rodacy doktora Kotoku przytaczają mnogie dowody, że misjonarze chrześćjaństwa w Japonji nie byli obcy tragicznej śmierci tego, który praktycznie naśladował Ferrera, a teoretycznie — Niemojewskiego.

Kotoku nie był bynajmniej „menerem" anarchistycznym i stał on wogóle zdala od polityki, jakkolwiek wyznawać mógł pewne koncepcje skrajne. Kotoku był wielkim pisarzem, pedagogiem i moralistą, szczególną zaś erudycją odznaczał się w dziedzinie religjoznawstwa. Ostatnie dzieło, które ów japoński Ferrer ukończył w więzieniu, traktowało właśnie o kwestji historyczności Jezusa i w krótkim czasie wywołało w Japonji spore zajęcie śród tamtejszego świata elity umysłowej. W dziele tym zdeklarował się Kotoku, jako przeciwnik chrystjanizmu, co nie szło oczywiście w parze z planami misjonarzy którzy zresztą animozji swej względem niego wcale nie ukrywali. Dzieje walki z *Bogiem-Jezusem* u nas i wszystkie tragiczne koleje sprawy Ferrera w Hiszpanji zbyt świeżo mamy wszyscy w pamięci, by nie wiedzieć, jakimi środkami zwykła się ta animozja posługiwać — nawet w pogańskim kraju Wschodzącego Słońca.

Sam Kotoku w swym orędziu do ludu japońskiego — pisanym w celi więziennej w przeddzień swego rozstrzelania — wyraża przypuszczenie, że pewne nienawiści religijne, analogiczne do tych, jakie żywiono w Hiszpanji względem twórcy *Escuola Moderna* — nie były bez wpływu na surowość wyroku. Kotoku był uczniem wielkiego reformatora japońskiego Nakae Chomin, którego znów słusznie porównać można z Leonem Gambettą, ponieważ prawie tymi samymi słowy, co i słynny trybun francuski, ostrzegał swój lud: „*Le cléricalisme — voila l'ennemi!*

Dzieło japońskiego badacza, mające zresztą wolny obieg w państwie Mikada (ciesz się Galicjo!), oparte jest na badaniach Drewsa i zawiera wywody podobne do głośnych „*Mytów o Chrystusie*". Kotoku, który nie napisał pamfletu, jeno poważne studjum naukowe, dochodzi do tej samej, co Niemojewski konkluzji: historycznej niecgzystencji Jezusa Dlatego też Kotoku zalecał swym rodakom-deistom nie zamieniać religji Buddy lub Konfucjusza na „doktrynę obcą, opartą na prostym podaniu".

Drożyzna.

Gdyby ktoś postronny szukał odbicia bieżących spraw naszych w prasie, mógłby mniemać, że poza procesem hr. Ronikiera niema nic, czymby się nasza opinja w chwili obecnej zajmowała.

Tymczasem olbrzymia część ogółu staje wobec stokroć ważniejszej kwestji: co począć, jak sobie poradzić z rosnącą z dniem każdym drożyzną?

Dochodzą tu wieści o srożącej się we Francji zawierusze, o „rewolucji drożyznianej" w okolicach Roubaix. Ale co się dzieje u nas po wsiach wobec tegorocznego nieurodzaju kartofli — o tym głucho i cicho. Dotąd nie powzięto żadnego projektu, żadnej planowej akcji gwoli odwrócenia klęski, póki jeszcze czas...

A co pocznie uboższa ludność Warszawy?

Od przyjaciółki naszego pisma i zawołanej gospodyni, pani E. C. otrzymujemy takie w tej kwestji uwagi:

„Stan rzeczy poprawi się nieprędko, może wypadnie czekać aż do przyszłorocznych zbiorów, a dziś już garniec kartofli kosztuje 12 kop. a mięso i pieczywo drożeje w szybkim tempie.

A co będzie na przednówku?

Jak wyżyje robotnik i rzemieślnik, zwłaszcza gdy mu spadnie na głowę syndykat mięsny, naftowy i węglowy, jak to już nieraz bywało? Sytuacja jest bardzo poważna i czas by się nad nią zastanowić!.."

W myśl idei samopomocy zbiorowej doradza szan. autorka listu powołać do życia niezwłocznie specjalny *Komitet Obywatelski*, na czele którego pragnęłaby widzieć Aleksandra Świętochowskiego, pomnąc szlachetną i owocną jego inicjatywę w r. 1905 podczas pamiętnych zaburzeń, kiedy Warszawa cierpiała od niepomiernej drożyzny.

„Aby zażegnać widmo nędzy — są słowa pani E. C. — która zajrzy zbliska w oczy naszemu ludowi, powinien wspomniany komitet zakupić odpowiedni zapas kartofli i sprowadzić go do Warszawy przed nastaniem mrozów i przed spotrzebowaniem cennej tej okopowizny na wypas świń dla Prusaków i na potrzeby gorzelni, których upadek bodajby był jedyną klęską dla naszego kraju!"

Ze swej strony popieramy gorąco projekt szan. autorki, powodowanej serdecznym współczuciem dla ludzkiej nędzy i niepłonną nadzieją, że prezes *Tow. Kultury Polskiej* zechce i tym razem stanąć na czele akcji ratunkowej.

Niechby po dwu kolejnych „świętach kwiatka": margerytki i róży polnej — nastąpiło ważniejsze dla nędzarzy „święto kartofla" — choćby bez omasty...

Pożary.

Było to do przewidzenia; skutkiem nadzwyczajnych w tym roku upałów i niezwykłej suszy cała „słomiana Polska" stanęła w ogniu. Jak okiem sięgnąć płoną domostwa, stawiane staroda wną modą za szczap smolnych i kryte wiechciem, z różnych stron donoszą, że co dnia widać w okolicy slupy dymu, a nocami świecą zewsząd łuny pożogi, jak od zagonów tatarskich albo „watah" kozackich.

Oj! nie Bohun to i nie Tuhaj-bej tak się nad nami srożą, jeno swojska, uparta, bezmyślna rutyna, która żywi pono animozję do murowania z cegły, a i dachówką się brzydzi, przekładając nad nią zwykłą pomierzwioną strzechę, od której płacić trzeba odpowiednio wygórowane i obowiązkowe stawki ubezpieczeń rządowych.

Istna to dla naszego kraju plaga ta swojska architektura, co to każe kryć domy najbardziej łatwopalnym materjałem. Polska strzecha, jak magnes, przyciąga ku sobie pożogę z dalekiej nieraz odległości, czego świeżym dowodem—pogorzelisko we wsi Wesoła (gub. Piotrkowska) spalonej od iskry pożaru w Marjance, odległej o całe dwie wiorsty!

I dziwić się tu, że od jednej zaprószonej iskierki ulatują z dymem całe wsie, osady, miasteczka, gdy mowy być nie może o umiejscowieniu ognia w podobnie dzikich warunkach.

Słychać w prasie raz po raz utyskiwania na „dra-

pacze nieba" groźne w razie pożaru. Lecz dalibóg stokroć groźniejszym jest owo słomiane poszycie nizkiej polskiej chaty, które powinno być prawem zakazane jako rozsadnik niszczącego ognia.

Reporterzy.

Skoro już mowa o trapiących nasz plagach w rodzaju posuchy, drożyzny i pożarów — niepodobna pominąć nienajmniejszej, a stałej plagi—błędnych informacji naszych pism.

Trudno zaiste wyobrazić sobie niedołęztwo bardziej opłakane jak to, którego dowody składa codziennie nasza prasa w rubryce „wiadomości bieżących". Podczas gdy wszystkie dzienniki zagraniczne szczycą się techniką szybkich i pewnych informacji — u nas tę najważniejszą w prasie placówkę traktuje się niedbale, od niechcenia, piórem nieodpowiedzialnych i lekkomyślnych sylfów, którzy plotą, co im ślina na język przyniesie, gubią w powodzi błahostek rzeczy najważniejsze, inne wypaczą, przekręcą, lub zupełnie pominą; a w rezultacie czytelnik pism polskich czerpie wiadomości via *Berliner Tgblt* lub *Hajnt* albo *Moment*. Ostatnią próbką zdolności informacyjnych naszych „kurjerków" była sprawa wykupu kolei wiedeńskiej, co do której najlepsze informacje miały... Berlin i Frankfurt... Przykłady można mnożyć bez liku.

Względnie najlepiej dają sobie kurjerki radę z wiadomościami z zakresu sportu, teatru i mody; co się zaś tyczy najważniejszych zagadnień ekonomicznych naszego kraju—są one traktowane „przez nogę". W licznych korospondencjach z prowincji wyczytać można o koncercie na cel dobroczynny, o teatrze amatorskim z wyszczególnieniem uroczych wykonawczyń, o budowie nowego kościoła, o wściekłym psie lub rozbieganym koniu. Możnaby przypuszczać, że na tych drobnych fakcikach zaczyna się i kończy życie naszego kraju. Tymczasem jest ono o wiele rozlewniejsze i głębsze, zwłaszcza dziś, w trakcie ważnych przemian gospodarczych w dziedzinie samopomocy zbiorowej...

Ale tych dziedzin nie obejmują móżdżki reporterów i korespondentów naszej prasy.

Świętować czy pracować?

Sprawę zredukowania dni świątecznych do siedmiu w myśl dekretu z d. 2 lipca podjął ze swej strony Bolesław Prus i pod powyższym tytułem rozesłał do pism polskich następujące obliczenia:

„Ażeby zrozumieć potęgę dni i godzin pracowitych, w porównaniu do czasu odpoczynkowego weźmy noprzykład dwóch pracowników. Obaj są płatni po 10 kop. za godzinę, ale Paweł pracuje 10 godzin na dobę, Gaweł tylko 9, Paweł trudzi się przez 305 dni w roku, Gaweł tylko przez 290. Przypuśćmy nadto, że wartość towaru, który każdy z nich produkuje, jest 7 razy większą od zarobku.

Otóż roczne rezultaty działalności każdego z nich uplastyczni następująca tabliczka:

	Paweł	Gaweł
Pracuje w roku godzin	3,050	2,610
Zarabia rocznie rubli	305	261
Roczna wartość produkcji rubli	2,135	1,822

Innymi słowy: Paweł, pracując rocznie więcej od Gawła o 440 godzin, zarabia o 44 ruble więcej i daje społeczeństwu za 308 rubli więcej towarów.

A teraz zróbmy jeszcze jedno przypuszczenie. Wyobraźmy sobie, że jakiś kraj posiada miljon Pawłów pracowitszych o godzinę na dobę i o 15 dni na rok; zaś inny kraj cieszy się miljonem Gawłów, którzy... lubią oszczędzać swoje cenne siły i zapytujemy, jak będą wyglądały te dwa kraje naprzykład po 25 latach, co odpowiada działalności jednego pokolenia?

	Kraj Pawłów	Kraj Gawłów:	
W ciągu 25 lat klasa robotnicza zarobi	7,625	6,525	mil. rb.
Wyprodukuje z towarów za	53,375	45,675	„

Innymi słowy: po upływie jednego pokolenia kraj Pawłów będzie miał przeszło o siedem miljardów rubli więcej bogactw. aniżeli kraj Gawłów, a robotnicy pierwszego kraju oszczędzą dla siebie przeszło miljard rubli więcej, aniżeli Gawłowie".

Na podstawie dalszych obliczeń dochodzi Bolesław Prus do przekonania, że jesteśmy jednym z najbardziej próżniaczych społeczeństw świata:

„Ile my też obchodzimy świąt w porównaniu z innymi narodami? Otóż Niemcy i Stany Zjednoczone obchodzą na rok 8 dni świąt, Francuzi i Belgijczycy 7, Szwajcarowie 4, żydzi 16 i pół, a my 17 (Rocznik Gebethnera i Wolffa). Naprawdę jednak robotnicy nasi, nawet w Warszawie, świętują daleko więcej, mianowicie: 3 dni na Zielone Świątki, 4 na Boże Narodzenie i 5 dni na Wielkanoc. Razem 25 dni, oprócz 52 niedziel.

Nadto, według obserwacji inż. St. Manduka, robotnicy prowincjonalni, z powodu świąt parafjalnych i odpustów, mają jeszcze ze 4 dni odpoczynku.

Inżynier St. Manduk bardzo gorliwie zajmował się kwestją dni świątecznych w naszym przemyśle i ogromne położył zasługi w sprawie wyjaśnienia nadmiernej ich liczby. Wynikiem jego badań jest broszura p. t. „Ilość godzin pracy dziennej w przemyśle maszynowym u nas i w inych krajach". Trzeba zaś nadmienić, że robotnicy w fabrykach maszynowych stanowią arystokrację robotniczą: należą do najświatlejszych i pracują staranniej.

Otóż kiedy u nas robota w fabrykach trwa 9 godzin (na prowincji 10), prawie we wszystkich zachodnio-europejskich zakładach pracuje się 10 godzin, a naprzykład w Holandji ślusarze, kowale, tokarze, elektrotechnicy pracują się przeważnie po 11 godzin, niekiedy po 12.

W naszych fabrykach roczna ilość godzin pracy wynosi około 2,600, w paru fabrykach prowincjonalnych 2,900; w Warszawie najwięcej pracuje Lilpop, Rau i Looweustein, bo 2,637 godzin. Otóż fabryki zachodnio-europejskie od tej naszej najpracowitszej pracują daleko dłużej, a różnica dochodzi do 300, 400... nawet 700 godzin na rok!

Krótko mówiąc, nie lubimy się fatygować, a oto skutki naszego oszczędzania pracy!

Niechże nam nikt nie tłómaczy, że — nie mamy za dużo świąt i że nie można zmniejszyć ich liczby, ale raczej niech dobrzy obywatele na każdym kroku przypominają, że: mamy zbyt mało pracy fizycznej i umysłowej, twórczej i zorganizowanej, tudzież — że: dola narodów znajduje się w stosunku prostym do ilości trudów i wysiłków.

Im więcej, im mądrzej, im solidarniej, im pomysłowiej będziemy pracowali, tym położenie nasze matarjalne stanie się znośniejsze, a z czasem i lepsze. Praca bowiem jest owym cudownym talizmanem, który łączy oceany, przebija skały, bohaterom przypina skrzydła, a niewolnikom otwiera drzwi więzienne.

Redukcja świąt kościelnych.

Ze sfer wiejskich donoszą nam powszechnie, iż świeżo ogłoszony dekret papieski, przenoszący obchodzenie wielu świąt kościelnych na najbliższą niedzielę—względnie spokojnie przyjętym został przez pracującą ludność.

Wprawdzie gdzieniegdzie pomiędzy parobkami pracującymi za stałe wynagrodzenie roczne, dały się słyszeć głuche pomruki, iż panowie zmówili się na to z klerem, lecz ogół cały odniósł się do redukcji z uznaniem, gdyż praca akordowa nauczyła go cenić

czas jako pieniądz, a maksymę tę zwłaszcza przyswoili sobie liczni wychodźcy amerykańscy, którzy przez szereg lat przyglądali się i uczestniczyli w energicznej tamtejszej pracy.

Jeżeli więc wogóle przypomnimy sobie, że dawniej najmniejsze nawet reformy w kwestjach obrzędowych wywoływały w ciemnych tłumach wzburzenie, a przepisanie np. poprostu na czysto ksiąg świętych przez Nikona spowodowało w Rosji odszczepieństwo staroobrzędowców, jeżeli również przypomnimy sobie zachowawczy i średniowieczny duch, owiewający aż dotąd kurs watykańskiej kamarylli—to również wydanie tej, bądź co bądź, z nowożytnymi potrzebami liczącej się bulli i przyjęcie jej z uznaniem przez wiernych, zapisać musimy jako plus w ewolucji pojęć katolickiego świata.

Ag.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *O liberalizmie rosyjskim* trafne i ciekawe spostrzeżenia zawiera ostatni (182) zeszyt *Myśli Niepodległej*. Przejęte zawsze duchem doktrynerstwa, nowe prądy umysłowości rosyjskiej przyoblekły się zrazu w szaty niemieckiego marksizmu w dziedzinie społecznej, by stanąć w końcu na mniemaniach niemieckich teologów w dziedzinie religji. Jak to się stało — wykłada autor wspomnianego szkicu tymi słowy:

> Gdy fatalne warunki życia zaczęły grozić Rosji rewolucją, kwiat inteligencji rosyjskiej, zamiast spojrzeć w życie, poznać jego potrzeby i pomyśleć o jakiejś radzie praktycznej, począł nagle toczyć dysputy na temat prawa spiżowego, walki klas, teorji nadwartości, siedmiogodzinnego dnia roboczego, wyższości twierdzeń Bernsteina nad twierdzeniami Kautsky'ego lub odwrotnie. Książęta i hrabiowie stanęli nagle na stanowisku proletarjackim, a bogaci fabrykanci traktowali socjalistów jak media spirytystyczne w ciemnym pokoju, mające łączność tajemniczą z duchami czasu. Rozumie się, że gdy przyszła rewolucja a z nią anarchja, nagle tym socjalistom w mitrach, z koronami hrabiowskimi, kasami wertheimowskimi i podręcznikami „nauk społecznych" nieco otworzyły się oczy, a ledwo pojęli, iż walka z absolutyzmem przemienia się w walkę klas, sam wyraz zdumienia, który się na ich obliczach odbił, wywołał w szeregach socjalistycznych okrzyk: kadeci zdradzają!

Obok tej minionej newrozy socjalistycznej cechą wybitną postępowców rosyjskich jest zupełne, a karygodne lekceważenie zdań *emancypacji myśli*. To też np. ruchu *Wolnej Myśli* wśród Rosjan niema wcale:

> Rosyjscy liberaliści nie starali się z nim zapoznać a dawne pod tym względem tradycje albo wygasły zupełnie, albo się gdzieś pod ziemią skoncentrowały około ołtarzyka mistycyzmu. Gdy poruszyć z jakimś postępowym Rosjaninem tę kwestję, odpowiada zawsze z uśmiechem ironicznym: myśmy z tego wyrośli! Nie odpowiada to jednak rzeczywistości. Jedna trzecia obywateli olbrzymiego państwa cierpiała do ogłoszenia aktu o tolerancji religijnej niedostatek, a i teraz wcale nie jest jeszcze dobrze i zaledwie nieco lepiej. Więc już z tego jednego względu niewolno było zatykać uszu na zagadnienie tak ogromnej doniosłości. Następnie różne kraje Rosji są kulturalnie tak zaniedbane, że kwitną w nich niebezpieczne dla kulturalnego postępu przesądy i zabobony, jak wypędzanie djabłów z osób rzekomo opętanych, gromadzkie zabijanie Antychrysta, który się narodził w jakiejś wsi i t. p. Lekceważyć może takie objawy tylko człowiek, który nigdy nie oderwał oczu od książki, by spojrzeć na żywo życie. A wreszcie stosunek wzajemny nauki i kościoła oraz tych dwóch do państwa tysiące nastręcza zagadnień i tysiące piętrzy konfliktów. Rosjanie postępowi mówią: u nas popa przyjmuje się w sieni! Gdy odszedł, zdaje im się, że z nim wszystko już załatwili, co było do załatwienia. Ale tymczasem ten w sieni przyjmowany pop nietylko włada miljonami dusz, ale rozporządza potężną instytucją Synodu, kładzie ręce na polityce a w kwestji tak ważnej, jak reforma kalendarza, nagle on całą inteligencję postępową Rosji przyjmuje w sieni i z niczym odprawia. A Rosjanie postępowi w dalszym ciągu uśmiechają się ironicznie i powtarzają: myśmy z tego wyrośli!
>
> Prawdą jest coś wręcz przeciwnego: Rosjanie postępowi zupełnie „do tego" nie dorośli.

To też dziwić się nie można, że miesięcznik *Ruskaja Myśl* wychodzący pod redakcją byłego marksisty Piotra Struvego, zamieszcza w czerwcowym numerze rozprawę Bułhakowa p. t. *Religijna myśl na Zachodzie*, gdzie najnowsze odkrycia i badania Drewsa traktowane są urągliwie z punktu widzenia prawowiernej niemieckiej teologji. Zauważyć wypada w nawiasie, że i nasza myśl społeczna na socjalistycznych krańcach odbyła ten sam co w Rosji cykl przeobrażeń choć w znacznie mniejszej skali.

* Znany publicysta p. Wł. Studnicki w *Gońcu* warszawskim wyświetla sprawę szkolnictwa parafialnego polskiego w Stanach Zjednoczonych Am. Pół. W szkole parafialnej zdobywa „światło" zaledwie $^1/_3$ dzieci polskich, pomimo, że wedle słów p. Studnickiego, księża chcący posiąść „monopol oświatowy" na wszystkie młodociane duszyczki polskie, zmuszają rodziców-parafian do oddawania swej dziatwy pod ich „opiekę" pod groźą odmowy rozgrzeszenia. Największe uczelnie polskie parafialne są prowadzone w Chicago przez O. O. Zmartwychwstańców. Oto co o tych uczelniach wyrzekł wspomniany publicysta.

> Szkoła nie oczyszcza języka z naleciałości amerykańskich, nie przeobraża żargonu dziecka ulicy amerykańskiej w język polski.
>
> Nie będę rozpatrywał, czy i o ile przynosi korzyść nauka katechizmu, ale zauważyłem, że szkoła parafjalna przez nadużycie obrządków religijnych, codzienne msze, częste spowiedzi i t. d. stwarza u wielu swych dawnych wychowańców krótszą lub dłuższą niechęć do obrządków religijnych. Wychowani w szkole parafjalnej rodzice nie posyłają najczęściej do niej dzieci. Można to przypisać temu, że to już drugie pokolenie zobojętniałe na naukę języka polskiego, ale takim je właśnie szkoła zrobiła. Przyjemniejszych wspomnień niewiele pozostawia.
>
> W konkluzji powiem, że szkoła parafialna oprócz techniki czytania po polsku i angielsku, pisania jako tako w obu tych językach i trochę rachunków nie daje wychowańcom nic.
>
> Przygotowania naukowe nauczycielek szkół publicznych jest bezporównania wyższe, niż siostr zakonnych. Pierwsze po ukończeniu szkoły wyższej przechodzą dwuletni kurs pedagogiczny, drugie znają tylko kurs szkoły parafjalnej; pierwsze co rok lub dwa uczęszczają na kursy wakacyjne uniwersyteckie, drugie nie czytają nic.

Autor wzywa do tworzenia polskich szkół świeckich, kończąc swą pracę następującymi słowy:

> Spolszczenie szkół publicznych w Ameryce w polskich miejskich dzielnicach i miejscowościach farmerskich jest możliwe. Polacy w porozumieniu z Niemcami, Skandynawami, Czechami i innymi narodami mogliby osiągnąć narodowe sekcje w radach szkolnych i podział funduszów szkolnych między nimi na mocy ilości wpłaconych podatków, lub, co byłoby dla nas dogodniejszym, na mocy ilości dzieci.
>
> Lecz na to trzeba polityki całkiem innej, niż ta, którą prowadzą współcześni prowodyrzy polonji amerykańskiej. Trzeba innego poziomu duchowego Polaków w Ameryce.

Z prasy czeskiej.

* *Narodziny neoslawizmu.* Korespondent *Narodnich Listów* bawiąc ostatnio w Odesie, dotarł do samych praźródeł neosłowiańskich prądów w osobie prof. Borzenki, o którym takie podaje informacje:

Aleksander Aleksandrowicz Borzenko jest profesorem prawa cywilnego w uniwersytecie odeskim, a oddany swym pracom naukowym nie troszczy się o życie publiczne i nigdy w nim nie brał udziału. W r. 1907 wyczytał w berlińskiej „Woche“ rozprawkę słynnego ekonomisty Sombarta, który wykazywał, jak przed stu jeszcze laty miały w Europie przewagę narody romańskie, w ciągu XIX wieku wysuwają się na czoło Niemcy, ale statystyka sama ma już pewne dane, że z czasem zajmą pierwsze miejsce słowianie. Zajęty myślą Sombarta snuł Borzenko rozmaite pomysły, aż na wiosnę 1907 r. wystosował pismo do prezesa ministrów Stołypina, przedstawiając mu, że ze względu na przyszłość słowian w Europie, powinnaby Rosja nie wypuścić z ręki ruchu słowiańskiego i dać inicjatywę do zjednoczenia słowiańskiego. Stołypin dał odpowiedź dopiero po dwu miesiącach, lecz listem własnoręcznym, pełnym zainteresowania dla sprawy, ale z uwagą, że może być mowa tylko o zjednoczeniu kulturalnym, a nie politycznym. List ten był ogłoszony w pismach odeskich; nadto posłał B. kopie Legerowi (profesorowi literatur słowiańskich w Paryżu) i Leroy Beaulieu'mu, autorowi słynnego dzieła o Rosji. Obaj zgadzali się z tym, że przewodnia rola w Europie przypadnie w niezbyt dalekiej przyszłości słowianom.

W Rosji nie było wcale zainteresowania do sprawy słowiańskiej. Dopiero, gdy francuskie pisma zaczęły pisać o Borzence, pojawiła się też w „Now. Wrem.“ wiadomość o jego zamysłach, żeby w Rosji samej dać inicjatywę do nowego ruchu słowiańskiego. Wtenczas zwrócił się B. do kilku słowiańskich posłów w parlamencie austrjackim. Pisał też do członków Dumy rosyjskiej, a mianowicie do klubu „Obszczestwiennych diejatelej“, w którego imieniu dał odpowiedź prezes tego klubu, Krasowskij, że zgadza się w zasadzie na to, żeby podnieść sprawę słowiańską na publicznym posiedzeniu Dumy, ale nie spodziewa się żadnej z tego korzyści, bo idea słowiańska bywa pojmowana tak rozmaicie, że podniesienie jej wiodłoby do rozbicia Dumy, a nawet może do jej rozwiązania. Wszystkie te listy złożył B., jako dokumenty historyczne, w muzeum odeskim.

Zainteresowanie wzrastało, posłowie słowiańscy z Wiednia nawiązali bezpośrednie stosunki z posłami Dumy, a w maju 1908 roku przybyli do Petersburga Kramarz, Hribar, Glibowickij. Rząd sam udzielił wskazówek, żeby ich przyjąć jak najwspanialej. Oczekiwano właśnie wizyty króla angielskiego w Rewlu. Polityka angielska popierała zbliżenie słowian, upatrując w tym pożądaną przeciwwagę przeciwi niebezpieczeństwu od Niemiec. Sytuacji ówczesnej międzynarodowej poświęcił zajmujące studjum berliński profesor Schiemann (jeden z moralnych wodzów hakatyzmu) w swej książce: „Die hohe Politik“.

Potym odbyła się konferencja praska, następnie zjazd dziennikarzy w Lublanie, na który prof. Borzenko nadesłał jakiś wniosek, tyczący się bibljografji słowiańskiej. Poza tym słowiańska „akcja“ Borzenki polegała na popieraniu rozmaitych wycieczek i na niczym więcej. Przypuszczał, że wystawa odeska dostarczy więcej sposobności do „zbliżenia słowian“, ale nie odegra ona wybitniejszej roli. Kiedy przybywała do Odesy wycieczka serbska, zwrócił na nią uwagę czeskiej rady narodowej, która też nadesłała w dzień przyjazdu serbów telegram pod adresem rady miejskiej odeskiej, na co odpowiedział wzajemnym pozdrowieniem odeski „starosta“. Ostateczny wniosek profesora Borzenki brzmi:

„My w Rosji jesteśmy ciągle jeszcze u początków ruchu słowiańskiego i dopiero następne pokolenie może będzie działało w tej sprawie raźniej od nas. Więcej nie mam nic do nadmienienia w sprawach słowiańskich“.

W całej „akcji“ profesora Borzenki przebija przedewszystkim naiwność. Do genezy neoslawizmu przyczynił się nieświadomie — a mimo woli wywołał ponownie na widownię bojowników starego panrusycyzmu, wciągnąwszy w sprawę Stołypina“.

KRONIKA.

NOWE UCZELNIE POLSKIE. Jako objaw niezmiernie pocieszający w naszym życiu społecznym, należy zanotować fakt powstania w ostatnim miesiącu dwuch uczelni z językiem wykładowym polskim w granicach Królestwa. Oto ministerjum przemysłu i handlu zatwierdziło ustawę VII klasowej szkoły handlowej W. Kunickiego w Lublinie. Zaś Łódź posiadła pierwszą polską szkołę zawodową przemysłu włóknistego. Dyrektorem tej nowej i dla rozwoju naszego przemysłu pożytecznej uczelni będzie p. Wacław Kujawski.

TEATR LWOWSKI. Niezwykle czynny i przedsiębiorczy dyrektor teatru lwowskiego p. Heller chce w obecnym sezonie dać swej scenie górujące stanowisko. Zapowiedzi teatralne głoszą, iż sezon rozpoczęty 11 września „Cyganerją“ Nowaczyńskiego posiędzie cały cykl widowisk historycznych, począwszy od komedji Zabłockiego i A. Czartoryskiego, a skończywszy na Zapolskiej, Przybyszewskim i „Legjonie“ Wyspiańskiego. Wciąż jednak jakoś nieszczęsne „swobody“ galicyjskie nie dozwalają na wystawę dobrze już znanej nawet w Królestwie i Litwie „Klątwy“... smutne to i wymowne.

Zato dyr. Heller nosi się zamiarem wystawienia w nowej inscenizacji „à la Reinhardt“ popularnego „Kościuszki pod Racławicami“ (Anczyca) w nader wyjątkowych — jak na naszą życiową szarzyznę — warunkch.

Bo oto Heller nosi się z zamiarem wzniesienia na przestrzeni powystawowej ogromnego teatru tymczasowego na 12,000 widzów..., albo odtworzenia sztuki anczycowskiej na boisku sokolim w Łyczakowie.

Z repertuaru obcego będzie wystawionych 20 i parę utworów pierwszorzędnej wartości.

Nawet o egzotyce nie zapomniał ruchliwy Heller, bo we wrześniu popisze się przed nadpełtwiańską stolicą japońska tragiczka Hanako wraz ze swym świetnym zespołem. Na repertuar wypłynie parę nowości teatralnych naszych autorów. Zamierzenia operowe przedstawiają się równie okazale jak i komedjowo-dramatyczne.

Lwowianie posłyszą: Didura, Bohuss-Hellerową, Janinę Nekar i innych.

OLBRZYMI PROCES. W tych dniach zostały doręczone akty oskarżenia w sprawie szeregu osób, posądzonych o należenie do „Żyrardowskiej organizacji P. P. S.“ Oskarżonych jest aż 67-iu.

Należą oni głównie do sfery robotniczej, zamieszkałej w Żyrardowie i Pruszkowie. Osiem osób z pośród oskarżonych odpowiada z wolności, reszta z więzienia.

Organizacja żyrardowska jest oskarżona o usiłowanie zabójstwa strażników w Żyrardowie w końcu 1906 r., za pomocą bomby, zamach na podoficera żandarmerji Klimowicza, w 1909 r., napad na urząd gminny w Skulsku i wiele innych zamachów na policję oraz osoby, podejrzane o szpiegostwo. Oprócz tego niektórym oskarżonym zarzucono udział w zamachach terorystycznych, dokonanych w okresie czasu od 1906—1909 roku.

Olbrzymi ten proces połączony jest z wieloma trudnościami technicznymi, gdyż ogółem będzie powołanych 500 świadków. Tak znacznego skupienia osób żadna z warszawskich sal sądowych nie zdoła pomieścić. Rozprawy więc będą się toczyć przy drzwiach zamkniętych w sali publicznej.

Prenumerata „Prawdy”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.**
Redaktor: **Aleksander John.**
Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.